

DANIEL ROCK.

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 10 □ Październik 1912

DANIEL ROCK.

Redaktor: □ Wydawcy:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). □ GEBETHNER I WOLFF.

ERCKMANN-CHATRIAN

▽▽

DANIEL ROCK

Powieść z francuskiego

Z 6-IU ILUSTRACYAMI



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1912



59683



Majster Daniel Rock.

DRUK'EM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

W-21/76/62014

I.

W roku 1840-ym żył w Felzenburgu, u podnóża Wo-
gezów, stary kowal, Daniel Rock. Miał on dwóch synów,
Kacpra i Krystyana, i córkę Teresę.

Wyobraźcie sobie starego Sykambra¹⁾ rosłego, su-
chego i mocnego jak dąb, z niskim czołem, siwemi
oczyma, nosem pociągłym, białymi zębami i rękoma na-
kształt dwóch maczug: takim był stary kowal.

Wiek nie pochylił jego krzepkich barków, nie stracił
mu z siwej czupryny ani jednego włosa; w układzie
zaciśniętych ust odbijało silne postanowienie, w dumnej
i wyprostowanej postawie niezłomna wola i stary duch
rycerski. Dzielni towarzysze Rudolfa z Habsburga mu-
sieli podobnie wyglądać. Brakło tylko ojcu Danielowi
żelaznej kolczugi i długiej szablicy, sięgającej wyżej ra-
mienia.

Trzeba wiedzieć, że rodzina Rock należała do naj-
dawniejszych w kraju. Stare dokumenty w Dagsbergu
mówią o tym rodzie płatnerzy i kowalów. Margrabiowie
z Felzenburga otaczali ich szczególną opieką. Pance-

1) Sykambrowie — jedno z dzikich plemion germańskich,
które naszły i opanowały Galię w VI wieku.

rze, helmy i rękawice ich roboty występowały po wielokroć na turniejach w Akwizgranie, Trewirze i Kolonii.

Dawne tradycje rodowe, wraz z gorzkim uczuciem obecnego upokorzenia, odbijały w surowych rysach staroego kowala, nadając im odrębny charakter. Włóścianie też bardzo go szanowali, a miejscowy mer, Zacharyasz Popper, który zazwyczaj przemawiał głośno, zniżał ton mowy, ilekroć ojciec Daniel ukazał się na radzie municypalnej.

Stary kowal pracował bez przerwy cały tydzień, w niedzielę tylko zwykł był wychodzić na mszę do kościoła. Niekiedy po nabożeństwie wdzierał się na gruzy Felzenburskiego zamku, sam jeden, pochylony ku ziemi, z zadumaną postawą.

W owej epoce, ani okrzyk flisów na kanale, ani świst lokomotywy, ani odgłos toczących się po szynach wagonów, nie maciły jeszcze ciszy leśnej. Domostwa, pokryte słomianymi dachami, mała dzwonniczka wiejskiego kościółka, otoczona wieńcem zielonych sadów, rzeczka Zorn, wijąca się kręto wpośród wzgórz, nakoniec żyzna łąka, na której pasły się liczne stada rogatych wołów i jałowic, wszystko to nadawało wsi prawdziwie sielski pozór. Felzenburg daleko był wówczas od Paryża. Mówiono tu jeszcze pierwotnym językiem, pełnym słów i zwrotów germańskich; śpiewano stare jeszcze pieśni, tak słodkie, tak żalosne, że, gdy się ich słuchało, oczy zachodziły łzami i myśl mimowoli zwracała się do dawnych Minezengerów, do pięknych pań i rycerzy, osiadłych po zamczyskach feudalnych; i dumaleś nad nędzą ubogiego ludu, nad którym pastwiły się dumne Brabanty, Burgundy i inni bohaterowie średnich wieków. Wieśniacy nosili tu jeszcze kapotę płócienną i czapkę

futrzaną z uszami zupełnie jak za czasów Henryka Ptasznika; niewiasty stroiły się w szeroki kornet, w suknie z krótkim po pachy stanem, którą matka córce przekazywała w spadku.

Całą literaturę miejscową stanowił Kulawy Gonic Strاسبurski, głównym płodem sztuki malarskiej był Żyd tułacz i święty Michał, wykonywany w Montbéliard.

Ponad wsią, na wierzchołku skały, sterczały malowniczo gruzy odwiecznego zamczyska, mgły nocne czepiały się czoła napół obalonych już wieżyc, trawa rosła w szczelinach szarych murów; i nieraz w długą noc zimową, kiedy wicher świstał przeraźliwie a wieśniacy, zebrani około ogniska, opowiadali sobie dzieje zapadłej przeszłości, słyszano, jak olbrzymi kamień, stracony z wierzchołka wzrębu, staczał się z łoskotem w głąb przepaści.

Owe to gruzy nawiedzał zwykle Daniel Rock w niedzielę po nieszpórach: tam rozmawiał ze starą Fuldradą, która we wsi uchodziła za czarownicę.

Fuldrada liczyła blisko lat sto; twarz miała chuda, zapadła, pooraną zmarszczkami, nos haczykowaty, oczy tak małe i zakłesłe, że ich nie widać było z pomiędzy zwisłych powiek i wystających kości policzkowych. Odzież jej składała się z brudnych szmat, podartych w łachmany, całem jej mieniem były dwie wielkie kozy, które co dnia doila w mały drewniany szkopek. Mimo tak wielkiego ubóstwa Daniel szanował ją więcej, niż wszystkich na świecie, uważał ją za świętą i rad był, że stara osiadła w baszcie Felzenburskiego zamku.

Daniel tak cenił te odwieczne zwaliska, że, dowiedziawszy się, iż rada municypalna zamierzyła je sprzedać, poświęcił cały owoc długoletnich trudów, i zakupił je wraz z jeżynami i wrzosem, z tysiącem gniazd nocnych sów i puhaczy.

Nikt nie považył się żartować z szaleństwa Daniela, bo stary kowal nie lubił żartów; zresztą zapłacił za gruzы brzęczącą monetą, wieś też rada była, że się pozbyła nieużytku.

Dwanaście lat upłynęło od tej pory, a stary Daniel nie żałował bynajmniej kupna.

Pracował z synami zimą do szóstej, latem zaś do ósmej wieczorem; potem zamykał kuźnię i powracał z nimi do domu.

Teresa tymczasem nakryła stół; gdy nadszedł Daniel z synami, zasiadali wszyscy do wieczerzy i, jedząc w milczeniu, popijali wino. Nadchodził potem Ludwik Benedum, syn młynarza Frantza, kochanek Teresy, ładny blondyn z różową cerą, pełnymi policzkami, niebieskim okiem, w szarej bluzie, w wielkim góralskim kapeluszu. Siadł za ogromnym piecem kaflanym obok dziewczyny, oboje rozmawiali po cichu; Daniel Rock nie widział w tem nic złego. Cenił on bardzo rodzinę Benedum, jedną z najdawniejszych w Felzenburgu: byli to ludzie stateczni, uczciwi i zamożni. Zarzucał wprawdzie Daniel ojcu Benedumowi, że zanadto zajmował się interesami, kupnem zboża i spekulacją, że biegał za pieniędzmi a nie dosyć pilnował młyna, ale kochał serdecznie młodego Ludwika i przyrzekł mu córkę bez oporu.

Jeszcze później nadchodził pleban miejscowy Niklaus, starzec z siwą jak gołąb głową. Daniel podawał

mu wielkie krzesło z poręczami, rozmowa toczyła się zwykle o przewrotności i skażeniu serc ludzkich.

— Oj tak, tak — mówił ojciec Niklaus — minęły już te czasy, kiedy wiara panowała w sercach... Kiedy tysiące ludzi podążało do Ziemi Świętej, aby wydrzeć grób Zbawiciela z rąk Saracenów. Wówczas świat był żywym obrazem Królestwa Niebieskiego. Ojciec święty w potrójnej koronie rzucał gromy na winnych, królowie i cesarze słuchali go, jak powolni synowie, a książęta i burgrafowie po zamkach obchodzili uroczyste tryumfy wiary. Szatan pychy nie opanował jeszcze ludów; ubogi kmiotek uprawiał ziemię, nie gonił za handlem, za lichwą i przemysłem, tem źródłem kłamstwa i wszelkich przestępstw. Gdzie te błogosławione czasy? Dziś oto proch, druk, dalekie żeglugi, para, słowem wszystkie wymysły ducha ciemności — przewróciły świat do góry nogami. Dawniej ludzie myśleli tylko o zbawieniu własnem... Dziś dbają jedynie o zaszczyty i znikome bogactwa. Niegdyś każdy pilnował swego stanowiska: syn cieśli był cieślą, syn mularza pozostawał mularzem. Dziś każdy patrzy wysoko, nikt nie rad ze swego stanu. Drzewo wiedzy wydaje nakoniec owoce: syn kmiecia chce być generałem, chce dorównać Machabeuszom. Syn mieszczanina ubiega się o godność sędziego albo pisarza, będzie wydawał wyroki, jak Samuel, będzie śpiewał hymny, jak Izajasz; podejmie w rękę miecz, jak święty Marek, albo pióro, jak święty Jan Ewangelista! A królowie! oni sami prowadzą świat na zatracenie! pokrywają ziemię drogami i kanałami a morza niezliczonymi okrętami. Dają ludziom pochop do nowych wynalazków, jakby wszystkie nauki nie były zawarte w księgach świętych. Stawiając posągi ludziom bez rodu i znaczenia, których ojcowie

pracowali na chleb kielnią albo motyką, podzegają tylko grzeszną pychę. To też klęski spadają na ludy, jak sępy na trupa, z którego duch uleciał. Oj tak, ojciec Danielu, wielkie to szczęście dla nas, że żyjemy w ciszy leśnej, jakby w bezludnej puszczy. Tu przynajmniej nie dosięgnie nas ocean niedoli i nędz ludzkich. Jesteśmy tu istnie, jak Noe w Arce, kiedy burza z błyskawicą i grzmotem huczała wkoło niego i morza zapełniły niebios otchłanie.

Ojciec Daniel skinął poważnie głową.

— Prawda—rzekł—prawda, ojciec, ale nie myślmy lepiej o tych rzeczach, zanadto one bolesne. Tereso, przynieś tu kronikę — przeczytaj nam historię Hugona Wilka, który zadusił żonę własnymi rękoma, albo historię wojen Brunehildy i Fredegondy — wreszcie, co zechcesz — wszystko piękne, ksiądz pleban sam wybierze.

Teresa przyniosła starą księgę, spiętą na mosiężne klamry, położyła ją na stole, odrzuciła na piękne ramiona ogromne sploty czarnych włosów, i zaczęła czytać wolnym głosem przygody i czyny sławnego Hugona Wilka, Szyłperyka Jednookiego i Hatona Czarnego niezatartej pamięci.

Stary Daniel, za każdym nowym opisem walki, patrzył w oczy ojca Niklausa.

— To mi to zapasy, aż miło. Dzielniz to byli ludzie! jednym zamachem rozwalali baszty, a ręką zdzierali blanki z murów; jak który płał toporem albo szablicą, to rozciął przez pół zbrojnego rycerza wraz z koniem. W to mi graj. Niech mi który z waszych jenerałów sprawi się dziś tak gracko.

I policzki jego płonęły ogniem, z oczu tryskały iskry, a z piersi dobywał się suchy kaszel.

Ludwik Benedum, mniej zamięłowany w starych legendach, poglądał tkliwie w oczy Teresy, a dwaj synowie kowala, obaj z czarną kędzierzawą głową i grubym karkiem, siedząc naprzeciw siebie podparci pod brodę rękoma, wyglądali jak dwa zadumane Sfinksy.

Dzień za dniem upływał w ten sposób; stary zegar jednostajnie wymierzał sekundy; żelazna lampa buchnęła niekiedy silniej i żółtym płomieniem oświeciła belki pułapu, albo wielką szafę, okutą w rzeźbione żelazo, lub też twarze obecnych, zamysłone o ubiegłej przeszłości.

Gdy zegar zaczął wybijać jedenastą, wówczas wszyscy obecni wzdychali pospolicie, a ojciec Niklaus mówił zwykle:

— Szkoda, że już tak późno i że czas już wracać na plebanie.

— Szkoda — powtarzał stary Daniel. — Tereso, załóż kartę do jutra... teraz oto idą najciekawsze rzeczy, i mają przywiązać Brunehildę do końskiego ogona i powlec ją wkoło obozu.

Wszyscy powstali smutno.

— Dobranoc, księżo plebanie.

— Dobranoc, moje dzieci.

Podczas gdy Daniel z synami odprowadził do drzwi plebana, Ludwik powstał cicho, składał pocałunek na czole Teresy, a młoda dziewczeczka patrzyła nań słodko wielkimi czarnymi oczyma.

— He, he! — mówił stary Daniel, stojąc we drzwiach otwartych — gdzież to się podziewa nasz Ludwik?

— Jestem tu.

I wybiegł co żywo za próg, a stary kowal wołał za nim:

— Dobranoc ci, chłopcze, zmykasz jak złodziej, he, he!

Tak to upływał czas w domu starego kowala. Dzień jeden podobien był zupełnie do drugiego. Wszystko wróżyło, że długo tak jeszcze będzie, kiedy dziwna przygoda zamąciła znienacka ów nieprzerwany spokój.

II.

Było to w końcu maja. Poczciwi wieśniacy w Felzenburgu szczęśliwie zakończyli posiew wiosenny. Już ciemne gałęzie jodeł odbijały na miękkiej zieleni buków i dębów, kozy śpiewały jednostajną piosenkę, kukulka kukła smutno w cieniu drzew, a ostatnie śniegi, roztopione ciepłym słońca promieniem, spływały potokami z dalekiego wierzchołka Schneeberga.

Tego dnia o świcie stary zgrzybiały Żydek, zwiędły i suchy jak śledź, z twarzą pooraną zmarszczkami, z nosem zakończonym ostro jak brzytwa, okiem przenikliwym, krótką siwą brodą, przejeżdżał drogą z Dagsbergu do Sawerny na chudym, jak on, osle. Eliasz Blum — tak się Żydek nazywał — miał na głowie szeroki i trudny kapelusz, na sobie zaś długi lapserdak wełniany, przystający do ciała.

Zorza tylko co zaświeciła na niebie, jeszcze biała mgła poranna spoczywała ponad milczącą doliną, czyniąc ją podobną do wielkiego jeziora. Daleko, daleko za łąką odbijał huk młotów kowalskich w kuźni. Zresztą głucha panowała cisza, wszystko pograżone było w śnie: i ludzie, i kury na grzędach, i ptactwo w gęstym lesie.

Ważna być musiała pobudka, która tak rano wyprowadziła Żyda w drogę. Marzył zapewne o jakiej ważnej spekulacji. Jakoż rzeczywiście pograżony w myślach, zamiast poganiać osła jak zwykle, patrzył przed siebie niepewnym wzrokiem; osiel zaś, korzystając z tego roztargnienia, zatrzymywał się to tu, to tam, tu skubnął trawę, tam oset lub świeży odrostek brzeziny, i długie uszy jego podnosiły się w górę, a oko rozjaśniało na widok takiej zmiany w postępowaniu pana.

Eliasz podniósł czasem głos — osiel ruszył znowu i zatrzymał się znów przy blizkim krzaku.

Tak zadumany Żydek przebył całą dolinę Spartzprôd i dobił wreszcie do Felzenburga; nigdy osiel nie był na takich godach.

Wtem wielki czerwony kogut Katarzyny Benedum, młynarki, zapiał przenikliwym głosem, przerywając poranną ciszę. Żyd zadrzał, oczy mu zabłysły... spojrzal przed siebie, zobaczył, że wjechał do wsi — słońce weszło wysoko, zegar kościelny wybił szóstą.

Żydek zaciał pęcikiem osła.

We wszystkich okienkach, we wszystkich drzwiach ukazały się głowy młode i stare, jedne przybrane w kornety, drugie przysłonięte szerokim kapeluszem albo wełnianą szlafmycą.

— Otóż i Żyd! — mówiono do siebie — panie Eliaszu! mamy potłuczone butelki na sprzedaż.

— Mamy starą bieliznę!

— Mamy popiół!

— Panie Eliaszu, zatrzymaj się, kup ode mnie jałowkę.

Ale Żyd, który zwykle zatrzymywał się przed każdym domem, pilnie rozpytywał o wszystko i targował każdy przedmiot, nie gardząc najmniejszą drobnostką, nie raczył obrócić nawet głowy, tylko poganiał osła i jechał dalej.

Na zakręcie drogi, naprzeciw wodociągu, przy którym pojono zwykle bydło, Eliasz zatrzymał się, powiódł oczyma po zwaliskach, wieńczących górę, po skałach i wyżynach, pokrytych wrzosem.

Widok gruzów tak żywo go zajął, że nie spostrzegł, jak garstka wiejskich dzieci otoczyła go w koło.

— Co on tam widzi? — pytały dzieci — my tam nie dopatrzeć nie możemy.

— Muszę tam dotrzeć koniecznie — pomrukiwał Żyd cicho, sam do siebie.

Potem spoglądał na kuźnię przypartą do pochyłości góry. Była to okopcona szopa, pokryta czarnym dachem, płomień jasny buchał przez otwór; połamane koła, osie i inne sztuki żelastwa leżały na kupie pod ścianą. Za kuźnią ciągnęła się przez górę ścieżka, wydeptana stopami pasterzy, wpośród kwitnących wrzósów i macierzanki; wyżej jeszcze sterczała baszta starożytnego zamku, przysłonięta bluszczem w malownicze festony.

Pomiędzy tą ubogą kuźnią, przytuloną do podnóża góry, a tą basztą, niknącą w obłokach, istniał jakiś tajemniczy związek, jakaś harmonia, którą tylko natchniony poeta zdoła zrozumieć i wyrazić.

Eliasz zwolnił biegu osła. Niebawem zatrzymał się przed kuźnią, zmarszczył brwi, wyciągnął szyję i przenikliwym wzrokiem patrzył w otwór, za którym Krystyan i Kacper, dwaj synowie Daniela, z obnażonymi ramio-

nami, bili na przemian młotem w wielką szynę żelazną, którą stary obracał kleszczami na kowadle.

Wielki miech dał z loskotem, huk młotów rozlegał się, skry tryskały w górę pod sklepienia i, sycząc, opadały na ziemię wilgotną; ognisko płonęło w głębi jasne i czerwone, jak słońce lipcowe o zachodzie.

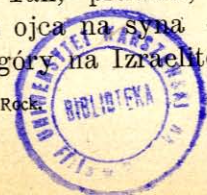
O czem myślał Eliasz? Czy podziwiał siłę muskularną dwóch atletów, czy harmonię olbrzymich młotów, uderzających do taktu w kowadło? kto to odgadnie? Zdawał się pogrążony w myślach i nie spuszczał z oka starego kowala, jakby chciał sięgnąć wzrokiem do najgłębszych tajników jego duszy.

Patrzył tak parę minut, a potem zsiadł z osła. Już miał przekroczyć próg kuźni, kiedy ojciec Daniel z piersią gołą, z twarzą poczernioną od sadzy, zlaną potem, w spodniach płóciennych szarych i skórzanym fartuchu, wyszedł z kuźni, chcąc zaczerpnąć trochę powietrza.

— Witam, panie kúpce! — zawołał z radością. — Jakże się powodzi? Zawsze gonisz wiatr po świecie, stary grzeszniku, małoż jeszcze naciulałeś talarów? Trzeba ci wciąż zbierać i zbierać aż do deski grobowej.

— He, he! — odparł Żyd dobrodusznie, przywiązując osła do słupka — cóż chcecie, ojcze Danielu? Człowiekowi nie łatwo oblec się w inną skórę. Kto raz przywyknie kręcić się tu i owdzie ze swym towarem, ten nie pozbędzie się tego narowu do śmierci. Toż natura ciągnie wilka do lasu, nie próżno mówią ludzie.

— Tak, prawda; wilk pozostanie wilkiem, a lis lisem z ojca na syna — odrzekł kowal. Po chwili spojrział z góry na Izraelte.



— Postarzałeś, jak widzę... głowa wyłysiała ci, jak kolano... zęby klekoczą w dziąsłach, niewiele już zduszysz kur i kogutów. Na twojem miejscu pomyślałbym szczerze o zbawieniu!

— Ej, nie tak ci jeszcze źle ze mną—odparł Eliasz, mrugając oczyma — prawda, żem łysy, ale węż mam dobry, dzięki Bogu... wietrzę z daleka, a choć mi brak którego zęba, jem jeszcze tak samo, jak i przedtem.

Daniel Rock zaśmiał się na głos: mały ów i nędzny Żydek umiał go zawsze rozśmieszyć. Uważał go tak samo, jak niegdyś panowie uważali swoich błaznów i karłów. Eliasz Blum, domyślając się tego, postanowił obrócić rzecz na swoją korzyść. Usiadł więc na ławce pod kuźnią.

— Ja nie żartuję wcale, ojcze Danielu — rzekł, śmiejąc się — nie daję wcale za wygraną. Zgadujcie, ojcze co mnie tu sprowadza?

— Alboż ja wiem? — Może osiel zgubił podkowę.

— Ej, nie! co innego miałem na myśli.

— I cóż naprzykład?

— Ha! małeńkie kupno.

— Eliaszu, powinienes wiedzieć, że Daniel Rock nie wdaje się w żadne szacherki.

— Wiem o tem. Ależ, ojcze Danielu, znacie mnie przecież od pięćdziesięciu lat... nie chwając się...

— Wszystko to prawda, ale dajmy pokój tym handlom.

— Pozwolicieź mi powiedzieć słówko — odparł Żydek, ruszając ramionami. — A przecież was nikt nie przymusza! możecie postąpić według woli. Jeżeli interes dobry i jasny...

— Dajcież mi spokój, nie zrobię nic...

— Mniejsza o to, posłuchajcie tylko. Przed chwilą, gdy mijał wieś, pomyślałem sobie: Jeden tylko ojciec Rock nic mi nigdy nie sprzedał, ani też nic ode mnie nie kupił. Jam już stary, mogę umrzeć niedługo. Byłby to wielki wstyd dla Eliasza, gdyby nic nie kupił od starego Daniela. Ale cóżby takiego kupić? Próżno smażyłem głowę... Wtem spojrzę do góry i widzę te ruiny zamku. Otóż mam interes, pomyślałem sobie, on mi je sprzeda — pewien jestem.

— Żartujesz chyba. A cóż tobie po nich?

— A wam, ojcze, na cóż się przydadzą?

— Mnie? och, to zupełnie inna rzecz!

— Ten główny mur, przyparty do skały, zostawiłbym na miejscu, ale ową basztę na pochyłości góry zrównałbym z ziemią, wykarczowałbym wrzosy i cały kawał gruntu zasadziłbym kartoflami.

— Co ty pleciesz? Alboż kartofle urodzą się na skałach? Nie wzeszedłby ani jeden.

— A cóż wam to szkodzi, mój ojcze, jeżeli ja zapłacę dobrze za ziemię? No, ojcze Danielu, pomówmy bez żartu. Muszę z wami choć raz dobić targu. Sprzedajcie mi te gruzy.

Ojciec Rock, widząc, że to nie żarty, pobladł i patrzył na Żyda przenikliwym wzrokiem, jakby mu chciał zajrzeć w głąb duszy.

Eliasz, zajęty własną myślą, nie dostrzegł tego badawczego spojrzenia.

— No, ojcze Danielu — dodał — wieleż sobie cenicie te zwałiska?

Przed dziesięciu laty kupiliście je za trzysta talarów. Ja wam dam brzęczącą monetą cztery tysiące osiemset franków. Zdaje mi się, że was nie pokrzywdzę?

— Powiedziałem, że się nie wdaję w handle.

— Jakto, czyż mało jeszcze? A ileżbyście chcieli?

— Te zwaliska nie są do kupienia.

— Wszystko jest do kupienia, ojcze Rocku, wszystko, tylko trzeba znaleźć starego głupca, jak ja, gotowego zawsze do targu. Idzie wam o tę kupę kamieni, pokrytą śniegiem, na których przez pół roku rosną osty i pokrzywy, gdzie dwie kozy Fuldrady nie mają się nawet czem wyżywić? Otóż ja wam dobrze zapłacę.

— Powtarzam ci, że zamek nie na sprzedaż... Czy rozumiesz? — odparł stary kowal gniewnym głosem.

— Czyby tam był jakiś skarb ukryty? — zagadnął Żyd, śmiejąc się — ja zawsze tak rozumiałem. A więc zapłacę wam tysiąc talarów.

— Strzeż się, Eliaszu, nie pozwolę z siebie żartować.

— Ja wcale nie żartuję, ojcze Rocku.

— Nie żartujesz? A więc posłuchaj. Od pięćdziesięciu lat włóczysz się po świecie za groszem, musiałeś nazybiać go niemało. Kup-że więc sobie, jeśli wola, całą wieś, całą górę ze wszystkimi chatami, z całym lasem i łąką; buduj sobie młyny i fabryki, kupuj w Alzacyi ochotników do wojska i sprzedawaj ich w Bretanii za podwójne pieniądze. Ale, gdybyś nawet pokrył talarami całe zwaliska Felzenburskie, aż po sam szczyt baszty, jeszcze ich nie posiędziesz! To własność Daniela Rocka, syna Piotra — a jak Daniel umrze, przejdą w ręce Krystyana Rocka, jego syna starszego. Otóż, dopóki zostanie ostatni Rock na ziemi, te wrzosi i te gruzy będą jego własnością.

Wyrzekłszy te słowa, Daniel powrócił do kuźni, nie czekając na odpowiedź, pochwycił szynę i zawołał silnym głosem:

— Dalejże, chłopaki, do roboty!

I młoty huknęły do taktu na kowadle.

Stary Żyd pozostał sam. Chwilę stał w milczeniu, poglądając wzrokiem osłupiałym; w końcu, widząc, że Daniel powrócił do roboty, wsiadł na osła i oddalił się smutnie zamyślony.

III.

Ogromna suma, ofiarowana przez Eliasza za gruzy i nieużytki, obudziła w Danielu podejrzenie i trwogę. Pewien był, że Żyd zamierza pobudować na górze fabryki, urządzić kopalnie lub inne zakłady przemysłowe, które pociągnęłyby za sobą upadek rolnictwa, pogardę odwiecznych obyczajów, słowem, sprowadziłyby powódź srogich plag, przepowiedzianych w Piśmie świętem.

Ciemna chmura spadła na duszę Daniela.

Tego dnia wieczorem, podczas gdy Teresa czytała kronikę, nie przerywał jak zwykle w ustępach opisujących starożytną dzielność margrabiów, albo niezliczone ich dobrodziejstwa; nie unosił się nad tryumfami rycerzy, którzy kopytami biegunów swoich deptali tysiące halabard i włóczni, jak trawę polną. Stary kowal zamknął się sam w sobie i siedział w ponurem milczeniu.

Ludwik oznajmił mu, że jego ojciec chciał go nazajutrz odwiedzić i pomówić z nim o ważnych sprawach.

— Dobrze, dobrze, rad będę temu — odpowiedział z roztargnieniem.

Kiedy zegar uderzył jedenastą i wszyscy powstali, zabierając się na spoczynek, Daniel nie odprowadził

za próg domu ojca Niklausa, nie zawołał za nim: „Dobranoc, księżu plebanie. Patrz, jaka to noc, jak pięknie świecą gwiazdy!” i nie ruszył się z miejsca, pograżony w głębokich myślach.

Teresa, która pozostała najdłużej w izbie, widziała, jak ojciec szedł na górę, stąpając ciężkim krokiem po wązkich drewnianych wschodach, uważała wzrok jego osłupiały, twarz bladą, czoło zachmurzone, słyszała, jak sam do siebie szeptał jakieś niezrozumiałe słowa.

— Ojciec chory — pomyślała w duchu dziewczyna.

I, niespokojna, czuwała późno w noc; zdało jej się, że słyszy, jak starzec przewraca się na łóżku z głuchym jękiem.

Nazajutrz jednak od piątej rano ojciec Rock pracował już w kuźni z synami: młoty z hukiem uderzały w kowadło.

Pracowali tak do południa.

Teresa nakryła stół i z radością spostrzegła, jak ojciec zawrócił w podwórko, obmył u studni twarz i ręce, a potem wszedł do domu krzepkim i śmiałym krokiem.

Z czoła jego pierzchły chmury, nagromadzone w dniu poprzednim. Jadł smaczno i wesoło.

Przez otwarte okno wpadał do izby promień słońca i połyskiwał po białym obrusie przerabianym nicią czerwoną, po wielkich misach malowanych w kwiaty, pełnych parującego mięsiwa, i po kubkach metalowych. Na pochyłości góry jabłonie, pokryte białym kwiatem, i drzewa brzoskwiniowe, kwitnące różowo, dziwnie radowały oczy. Ojciec Rock poglądał na córkę tklwym wzrokiem. Dumny był, jak widać, z jej urody.

Dwaj chłopcy zajadali smacznie, popijając winem.

— Piękny dzień — odezwał się Kacper.

— Oj, gdyby to była niedziela — rzekł ojciec Daniel — jakby się to pęsało pod zielonym dębem! Ale nie bój się, niedziela nie uciecze, i mała Gredil nie odleci jak ptaszek do lasu.

Na te słowa brodaty chłopak zarumienił się po uszy.

Po obiedzie ojciec Daniel zadumał się znowu. Kacper wyszedł przed dom z Krystyanem, Teresa stanęła w oknie i, milcząc, poglądała na drogę.

— Otóż i ojciec Benedum — zawołał Kacper — poznaję daleko jego tłuste kasztany.

— Tak, Ludwik siedzi koło niego — dodał Krystyan. — Patrz, cóż to za gody we młynie: stary ma na sobie kamizelkę niedzielną i czerwone szelki.

Konie młynarza zbliżyły się truchtem — wózek turkotał po bruku.

Teresa uciekła do kuchni, a ojciec Rock, który siedział jeszcze u stołu, obrócił głowę i spostrzegł starego towarzysza, Frantza Beneduma, wstrzymującego tłuste kasztany przed domem. Z pod szerokiego kapelusza widać było twarz młynarza, rozjaśnioną uśmiechem.

Oko starego Daniela rozpromieniło się także. Spojrzał na towarzysza lat dziecinnych, jedyne, który pozostał jeszcze we wsi z pomiędzy tyłu, i pomyślał sobie: — Co to za barki, istny dąb, dziś takich nie zobaczysz!... Ba!... dzisiejsi młynarze... poznasz ich tylko po kamizeli. Za moich czasów poznawano młynarza po barkach! Poczciwa też to twarz z tą siwą czupryną, z tym grubym pałkowanym nosem i oczyma drobnymi, jak tarki. Młynarza każdy pozna, patrząc na mego starego Frantza.

Tak myślał sobie stary Daniel, wychwalając w duchu

współczesne sobie pokolenie, z krzywdą tych, które po nim nastąpiły i miały kiedykolwiek nastąpić.

Frantz Benedum wstrzymał konie przed wrotami.

— No, chłopcy — zawołał — podkujcież mi tę szkapę, tylko mocno.

— Bądźcie spokojni, ojcze Frantz.

— A gdzie ojciec Daniel?

— Jestem, jestem, kochany mój Benedum. Chodź-że tu, stary, co żywo.

— Idę, idę.

I słyhać było ciężkie kroki młynarza, idącego przez podwórko, a tymczasem grube konie parskały i szamotały się w ręku Kacpra.

— Jakże się masz, Frantz?

— Jak się masz, Danielu? Przybywam w dobrą chwilę.

— Tak, nie inaczej! Wypij-że ze mną szklanekę wina. Tereso! Tereso!

— Jestem, ojcze — odrzekła dziewczeczka, ukazując się z żywym rumieńcem na schodach.

— Idź zaraz, utocz wina w dzbanek, wiesz z której beczki...

— Wiem, ojcze.

— Piękna dziewczyna — pomyślał młynarz, wiodąc oczyma za Teresą — nie dziwię się, że mój chłopak męczy mnie od świtu do zmroku, żeby prędzej zakończyć sprawę. W jego miejscu krzyczałbym jeszcze głośniej...

Teresa powróciła niebawem, postawiła dzbanek na stole i chciała wymknąć się czempredzej, ale ojciec Frantz pochwycił ją w przelocie i zawołał:

— Ho, ho! powoli, powoli. Pocałuj-że mnie, moja dziewczeczko.

Teresa, drżąca, pocałowała starca w czoło i uciekła zapłoniona.

Dwaj starzy przyjaciele, podparci o stół łokciami, poglądali na siebie z uśmiechem. Frantz wyciągnął rękę do Daniela, ten podał mu swoją, i ścisnęli się obaj w milczeniu. Zdało się jakby słowa nie chciały z ust im wybieść.

Tkliwy obraz przedstawiały dwie siwe głowy starców: w rysach jednego czytałeś powagę, spokój, energię, w rysach drugiego niewinną złośliwość, połączoną z dobrocią i szczerością. Obaj przyprószeni śniegiem starości, mimo to pełni siły i zdrowia, używali wszelkich władz umysłowych i daleko sięgali wspomnieniem.

Ojciec Rock napełnił winem szklanki. Za domem dwaj chłopcy kuli konie z łoskotem.

— Stój, stój, Repel! — wołał Kacper. — Krystykanie, podnieś mu nogę, tylko pomału. Cóż to, czy poszalały kasztany? Widać, że jedzą goły owies.

— Mój chłopak mówił ci wczoraj, że się wybieram w odwiedzinę do ciebie? — zagadnął stary młynarz.

— Tak, zdaje mi się, że mówił.

— Pewien jestem, że nie zapomniał o tem. Zdrowie twoje, Danielu.

— Zdrowie twoje, Frantz.

— Dobre wino... skąd-że je bierzesz?

— Z Rikewiru w Alzacyi.

— Wyborne.

— Otóż, mój Danielu — dodał młynarz po chwili — od pięciu kwartałów mój Ludwik odwiedza twój dom, musiałeś go już poznać.

— Dzielny chłopak, lubię go szczerze.

— Tak, jest dzielny chłopak... porządny, pracowity, oszczędny... możesz mi zaufać, Danielu.

— Znam chłopca... przypadł mi do myśli. To człowiek z naszych czasów.

— W rzeczy samej, a więc, kiedy tak... po co nam odwrócić wesele... Zdaje mi się, że Teresa przychylnym okiem patrzy na Ludwika.

— I ja tak myślę. Jedna rzecz tylko stoi na zawadzie: posag dotychczas nie gotowy.

— Posag! no to go dasz później.

— Nie, bracie, trzeba, żeby Teresa otrzymała go przy ślubie. Córka Daniela Rocka nie powinna iść za mąż bez posagu. Zresztą nie długo na to czekać. Co dnia odkładam coś na bok... Jeszcze z pięć albo sześć miesięcy, a wyprawimy wesele.

Nastąpiła chwilka milczenia. Stary młynarz uśmiechał się zamyślony.

— Danielu — rzekł — powinienes pragnąć niecierpliwie połączenia tych dzieci. My z żoną tylko o tem myślimy i mówimy. Katarzyna przygotowała już bieliznę na nowe gospodarstwo. A potem, trzeba ci wiedzieć, że się dobre miejsce nadarza Ludwikowi. Niedawno oto młynarz Diemer z Steinbachu począł spekulować na ziarnie... i niemało stracił pieniędzy. Jego młyn jest właśnie wystawiony na sprzedaż... Ludwik nie może zamieszkać w Steinbachu bez Teresy... a jeśli opuści tę gratkę, nie prędko zdarzy się druga podobna. Po cóż tedy odwrócić małżeństwo? Po co dręczyć te biedne dzieci? Posag, posag, niezła rzecz, ale czyż słowo twoje nie stanie mu za złoto?

— Nie, bracie... ja mogę umrzeć!... Wiesz, mój kochany, że kupiłem te gruzy na górze. Nie tegi to posag dla dziewczyny, wyciągnąłem się na to, jak struna... Otóż teraz robota jakoś idzie, codzień złapię coś grosza, chłopcy pomagają mi jak mogą, ale posag jeszcze nie gotowy, a pojmujesz sam, że ja, Daniel Rock, nie mogę powiedzieć mojej Teresie: „Patrz, drudzy opatrują cię we wszystko — ojciec sam nic ci nie dał“... To być nie może!... Ona otrzyma posag... bręczącą monetą... już ja w tem... Rad jestem, gdy pracuję dla dziewczynki.

Ojciec Rock napełnił znowu szklanki winem, stary młynarz skinął głową i zawołał:

— Zawsze z ciebie ten sam Daniel, od sześćdziesięciu lat, jak cię znam, nie zmieniłeś się ani na jotę. Dziwna rzecz... posag! posag! otóż ja dam synowi dwa posagi. I cóż ty na to powiesz?

— Jakto?

Oczy młynarza zabłysły, wyciągnął łokcie naprzód, zajmując nimi pół stołu, siwą głowę wsparł na obu rękach. Daniel tymczasem zawsze poważny i uroczysty, z głową podniesioną, z rękoma założonemi na krzyż, spokojnie słuchał, nie okazując najmniejszego poruszenia.

— Znasz moją łączkę w Langwaldzie — rzekł młynarz.

— Tak, znam ją, poniżej skały.

— Owa łączka ma zaledwie trzy morgi, rzeka zalewa ją dwa razy do roku, nie też na niej nie rośnie prócz wikliny... najwyżej ją cenię około tysiąca franków. Otóż, wyobraź sobie, mój Danielu, onegdaj o trzeciej z południa, kiedy byłem we młynie, przybywa ten mały Żydek Eliaz Blum na swoim osle... Rozmawia o tem i owem, o owsie, o mące, o jęczmieniu, aż nakoniec

przechodzi do mojej łączki w Langwaldzie. Zmiarkowałem, że coś się święci, i rzekłem sam do siebie: „Ty chcesz mnie wyprowadzić w pole, Eliaszu! Baczność!” I, jakby nigdy nic, podniosłem uszy w górę. Żyd tedy począł mówić o łączce i przyganiać jej: „To licha ziemia, trzęsawisko, więcej się na niej rodzi żab, niż trawy”. — „Dobrze” — myślę w duchu, ale nie odzywam się ani słówka. „No, ojcze Benedum — zacznie Żyd — cóżbyście chcieli za to?” — „Ależ, mój Eliaszu, skoro to nie nie warto?” — Mniejsza z tem, powiedzcie zawsze cenę... Pięćset franków za morgę, będziez wam dosyć, ojcze Frantz?” — „Pięćset franków, żartujesz sobie” — i odwróciłem się od Żyda.

Stary młynarz uśmiechał się, rzekłszy te słowa. Ojciec Rock, zamysłony, wlepił w niego wielkie siwe oczy.

— „Sześćset franków, ojcze Benedum” — ciągnął młynarz.

— „Drwiesz sobie ze świata”.

— „Sześćset pięćdziesiąt”.

— „Nie!” — „No, to siedmset!” Skorom posłyszał o siedmiuset frankach, mój Danielu, sam nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Katarzyna mrugała na mnie z daleka, żeby się napróżno nie wzdragać; ale ja zmiarkowałem, że Żydowi zachciało się koniecznie mojej łąki. To mnie ośmieliło, żądam więc tysiąc franków. Żyd w krzyk i ucieka jak zmyty. Katarzyna pcha mnie za Żydem; patrzę i widzę, że zawraca do Dagsbergu. Oho! pomyślę sobie, niema rady, nie ominiesz ty mego młyna z powrotem do Sawerny. Gdybym cię zwrócił z drogi, gotówbyś cofnąć słowo. Katarzyna krzyczy, jak opętana, wyrzuca mi, że wypuścił z rąk szczęście. Znasz kobiety, Danielu, trudno im czekać. Radeby odrazu

przeskoczyć trudności. Dobrze jednak, że się nie pokwapił zbyt. Ten łotr Eliasz, zamiast jechać do Dagsbergu, zatrzymał się w Spartzprödzie, a o piątej wieczorem wstąpił znowu do młyna, z papierem stemplowanym do spisania kontraktu i ze sporym woreczkiem pieniędzy. Trzy tysiące franków! trzy tysiące złotych za liche bagnisko, w którym woły moje grzęzły po kolana, za łąkę, której nie można było kosić... Cóż ty na to, Danielu?

I Frantz Benedum parsknął głośnym śmiechem w uniesieniu radości. Daniel Rock nie śmiał się wcale, zbladł i nie odrzekł ani słowa.

Stary młynarz, zdziwiony tem milczeniem, spojrzał na kowala i spostrzegł usta jego zaciśnięte szyderczo.

— Co tobie jest, Danielu? czy sądzisz, że to zły interes?

— Przeciwnie, bardzo dobry — odrzekł kowal z goryczą — zyskujesz niemałe pieniądze, ale posłuchaj mnie, Frantz.

Oczy Daniela przybrały dziwnie ostry wyraz.

— Jesteśmy — rzekł — towarzyskami z lat dziecinnych... tyś mi w tych górach jedynym przyjacielem, nie chcę znać innego. Tęgi z ciebie człowiek, lecz za nadto lubisz pieniądze. Zamiast siedzieć spokojnie w młynie i mleć ziarno, które ci dowiozą, ty włóczysz się po Alzacyi; zakupujesz zboże, owies, a nawet i konie na handel, frymarczysz, kochanku — to nie pięknie, wcale nie pięknie! Powinieneś pamiętać, że Benedumowie byli niegdyś drabantami i rajtarami w zamku Felzenburskim, z ojca na syna; że wielu z nich poległo zaszczytnie w obronie panów naszych; że w rodzie twoim było trzech

kapelanów w Dagsbergu, że ci siedzieli na miejscu, a nie zabawiali się handlem.

— Ależ, bracie — odparł młynarz — kapelani, rajтары i drabanci już dziś nie istnieją, już ich nigdzie nie spotkasz. Ja wskrzeszać ich nie myślę.

— Nie, mój kochany — przerwał Daniel, potrząsając głową z oburzeniem — nie przekonasz mnie, że to dobrze zapominać przykładu naddziadów i sprzedawać otrzymaną po ojcach puszciznę. Naprzód, powiedz mi, co Żyd myśli robić z twoją łąką? wiesz-że ty o tem?

— A mnie co do tego? niech sobie głowę smaży, nie dokaże tego, ażeby zarosła trawą, jestem pewien.

— Wierzę ci, ale może zbudować na niej fabrykę, przyciągać do wsi robotników z całego świata i popsuć lud, rozbudzając w nim chciwość. Wtedy zamiast żyć po prostu i poczciwie w górach naszych, zamiast uprawiać po Bogu swój zagon i poprzestać na małym, każdy za-pragnie łatwego zarobku. Ludzie sprzedawać będą pracę, poczciwość, i żyć będziemy jak mieszczuchy, myśleć i działać tak, jak oni. Staniemy się kłamcami, oszustami, zazdrośnikami, chciwcami i rządzić nami będą pismaki i adwokaci. Dawne obyczaje pójdą precz... każdy zechce podnosić głowę z krzywdą drugich... wszystko będziemy czynić, co nam każą, byleby wziąć pieniądze... wyrzekniemy się własnej woli... Bogaci przewodzić będą ubogim, a ubodzy pracować na korzyść tłustych opasów... Oto, mój bracie, do czego dąży twój Żyd, a ty — ty, Frantz, będziesz współnikiem jego dzieła.

— Ot tam, do licha! poczekaj, bratku, widzisz wszystko w zanadto czarnych barwach.

— Widzę rzeczy tak, jak są.

I, podnosząc głowę, ojciec Daniel dodał z godnością:

— Ja cię nie potępiam, mój kochany, nie, tyś się nie zastanowił nad tem; ale trzeba ci wiedzieć, że Żyd był i u mnie, chciał kupić gruzы starego zamku. Zgadnij tylko, ile mi za nie dawał.

— Za gruzы?

— Tak jest, i za ten bok góry zarosły wrzosem.

— Może ze sto talarów.

— Tysiąc talarów, bracie!

— Tysiąc talarów — zawołał młynarz, podskakując na stolku — i ty odmówiłeś?

— Odmówilem, tak jest, bo ja, Daniel Rock, mam na uwadze przyszłość naszej dziatwy; nie chcę fabryk, żeby z nich wyciskały krwawy pot. A wreszcie, gdybym był zdolny sprzedać stare zamczysko panów naszych, powiedz mi szczerze, mój kochany, co byś o mnie sądził? nie byłebym odstępca gorszym stokroć od Judasza?

Frantz Benedum sam nie wiedział, co na to odpowiedzieć, a stary kowal ciągnął dalej ze łzami w oczach:

— Myślisz-że ty niekiedy, mój Frantzu, o dawnych panach naszych, o tych mężach zuchwałych a wspaniałomyślnych, którzy pierwsi wtargnęli w te odwieczne puszcze Wogezów i Alzacyi, wypłoszyli z legowisk wilki i niedźwiedzie, i osiedlili się w kraju? Czyż nie wiesz, że ojcowie nasi trzymali od owych mężów pola, domy i uprząż, i szczęśliwi byli, żyjąc pod cieniem swych oszczepów, osłonięci ich potężnem ramieniem? Wtedy ziemia należała do tego, kto ją zajął, lecz nikt nie odpowiadał za zbiory: tysiące rabusiów bez dachu i ogniska, jak to zapisano w starych kronikach naszych, błąkało się tu i tam, roznosząc w koło pożogę i spustoszenie. Pan ze szczytu skały swojej spostrzegał z daleka wro-

ga, rzucał się nań, staczał krwawy bój, walcząc niekiedy sam przeciwko dziesięciu, aby ocalić plon rolnika! Ja powiadam, że ci ludzie znacznie byli, dzielniejsi i szlachetniejsi od nas. Pod ich tarczą staliśmy się tem, czem jesteśmy, odwadze ich winni byli prajcowie nasi bezpieczeństwo. Nie godzi się przeto zapominać o nich, mój bracie. Im to zawdzięczamy wiarę chrześcijańską, bo, gdyby nie ich opieka, gdzieżby żyli ci świętobliwi mędracy, którzy krzewili religię świętą, odprawiali msze w głębi lasów i spisywali księgi? Tak, powtarzam, bez nich bylibyśmy dzikimi barbarzyńcami, pozbawionymi dobrodziejstw Ewangelii!

Dawni dziedzice Felzenburga wymarli oddawna, lecz, gdyby mogli wrócić, stary Rock powiedziałby do nich: „Patrzcie, oto wasz zamek! stos gruzów i nic więcej... ale wszak dla orla dosyć skały, by odbudował gniazdo!”

Domawiając tych słów, stary kowal powstał. Oblicze jego straszny przybrało wyraz: usta mu drżały, siwy włos poruszał się, jak grzywa.

— Poszedłbym z nimi — zawołał grzmiącym głosem. — Tak, Daniel Rock, pod ich bokiem, wyzwałby świat w zapasy.

I usiadł, blady jak śmierć, z okiem dziwnie błyszczącym i wychylił szklanicę do dna. Ojciec Benedum blady był także. Nigdy nie widział Daniela w tak wielkiem poruszeniu.

Po chwili kowal ciągnął dalej zniżonym nieco głosem:

— I ja bym miał sprzedać, ja! zamczyisko panów moich? Toż to dziś grób, nic więcej. Miałżebym sprzedać grób ich — za marną garstkę złota?... Ha! raczej uciałbym sobie rękę!... Słuchaj, Frantz, ty wiesz, że umarli raz do roku powstają z grobów, w noc Bożego Narodzenia:

cóżby więc powiedzieli nasi starzy panowie, zbudziwszy się tej nocy, gdyby zobaczyli swój zamek, sprzedany przez Daniela, a zburzony ręką handlarską? Nie, dzięki Bogu, jam nie tak nikiemny, abym się dopuścił tej zniewagi. Powiedziałem Eliaszowi: „Dopóki będzie na ziemi jeden Rock, dopóty zachowa w całości zwałiska Felzenburga, a choćby je całe pokryto złotem, nie sprzeda z nich jednej cegiełki”. Daniel Rock zapracuje na posag dla córki, synowie pomogą mu w pocie czoła... a nie sprzeda ani źdźbła trawy, aby uszczęśliwić Teresę.

Umilkł stary kowal i pozostał chwilę wsparty o stół pięścią z okiem błyszczącym. Dwaj synowie słyszeli go ze dworu, oparci o framugę okna; na twarzach ich odbijał się ponury zapal.

Frantz Benedum, jakby gromem rażony, sam nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

— Piękne to wszystko, Danielu, coś mówił — rzekł po chwili — tak jest, bardzo piękne. Ale na nieszczęście ludzie nie rozumieją tego.

— A i cóż mi do ludzi, zwłaszcza do ludzi, którzy nie rozumieją nic, prócz talarów? Ja czuję to, co mówię, robię to, com powinien, reszta wcale mnie nie obchodzi. Tyś sprzedał lichą łakę, lecz ja miałżebym sprzedać ostatnią pamiątkę margrafów Felzenburskich?

— No, mój Danielu, stało się, klamka zapadła. Mam posag dla Teresy i składam go tobie. Oddasz mi go, gdy będziesz mógł... Brak tylko pozwolenia twego, aby uszczęśliwić kochane dzieci nasze.

Rozrzewniony kowal uścisnął rękę towarzysza lat młodych.

— Zgoda — odrzekł — przystaję chętnie na to. Twój syn dzielny chłopak, powierzam mu szczęście Te-

resy. Gdybym wybierał z tysiąca zięciów, nie wziąłbym zaprawdę innego. Pamiętaj tylko, Frantz, nie wspominaj mi nigdy o tych gruzach. Nie wyrzucaj mi, żem odrzucił sześć tysięcy liwrów Eliasza!

— Ja miałbym ci wyrzucać, mój Danielu? Alboż ci nie wolno rozporządzać swem mieniem?

— Dobrze, więc przywołajmy dzieci.

Kasztany były już podkute. Ludwik stał na schodach przed domem, drżąc z niecierpliwości, a Teresa, przysłuchując się z kuchni rozmowie, bladła i rumieniła się na przemian. Znała ojca, grzmiący głos jego prze-rażał ją niewymownie.

Obaj starzy powstali.

— Ludwiku! — zawołał młynarz.

Ojciec Daniel poszedł po córkę.

— Chodź-że tu, chodź, Tereso! powiedz, czy chcesz tego hultaja za męża.

Ludwik i Teresa uścisnęli się ze łzami.

Starzy ojcowie, niemniej wzruszeni, ocierali oczy z uśmiechem. Krystyan i Kacper poglądali smutno, myśląc w duchu: „Kiedyż to przyjdzie na nas kolej?”

Ojciec Rock odgadł zapewne myśli synów.

— No, chłopcy — zawołał — odpaszcie żywo fartuchy, na dziś skończona już praca. Frantz, jedź-że po Katarzynę. Spożyjemy wieczerzę razem. Trzeba zebrać całą rodzinę przy ognisku.

IV.

Wiść o małżeństwie Ludwika i Teresy obiegła całą wieś w mgnieniu oka.

— Czyście widziały Katarzynę? — mówiły do siebie kumoszki, stojąc przed progami chat swoich.

— A jakże, widziałyśmy, weszła w tej chwili do domu starego Daniela kowala.

— A więc wesele gotowe.

— Oj, będzie to dopiero wesele!

— Zapewne! stary Daniel wystąpi po dawnemu. Oj, za naszych czasów bywały-ż to wesela! Pomnę, na mojem było przeszło trzydzieści osób, a jedli i pili, aż miło. Nieboszczka matka zastawiła na stole sześć szynek, piętnaście funtów wołowiny, ogromną pieczeń cielęcą, a prócz tego sera, jaj i wszelkiego pieczywa co niemiara. Z beczułki wina alzackiego nie zostało ani kropelki. Pomnę, jak Fifer Karl wygrywał na klarecie, kiedyśmy powracali z kościoła. Oj, było-ż to wesele!

— Nie inaczej było i na mojem — odparła inna — pamiętasz, Małgorzato? Nie zapomnę nigdy, jak nauczyciel szkolny, stary Bischof, podchmielił sobie przy wieczerzy. Tak nieborakowi w głowie zaszmerowało, że, zamiast przeze drzwi, wyszedł z chaty oknem od ogrodu i utknął nosem w kapuście. Trzeba go było aż podnieść i odprowadzić do domu, jak małe dziecko. A zakrystyan Freyling aż się rozchorował na niestrawność. Sam na siebie zjadł całą szynkę. Dziś już nie zobaczyć takiej uczty!

Tak rozprawiały stare kumoszki, przypominając sobie z uśmiechem dzień wesela. W chacie poczciwego

Daniela tymczasem szczękały kieliszki i talerze. W izbie gwarno było i wesoło, a zegar pomału wymierzał sekundy.

Frantz Benedum, z nosem zaczerwienionym, z kapeluszem przechylonym na ucho, objął szyję kowala i wołał z uniesieniem:

— My to przecie starzy druhowie... zjedliśmy z sobą niejedną beczkę soli, kochamy się też całym sercem, nigdy nie miałem drugiego takiego przyjaciela. I dzieci nasze kochają się także. Rad jestem, jakby mnie kto w raj uposadził. No, w ręce twoje! wypijmy zdrowie Katarzyny, najlepszej kobiety w świecie.

A stara młynarka, wysoka, sucha, z twarzą pokrytą piegami, w ogromnym kornecie koronkowym, sterczącym jak piramida na głowie, uśmiechała się wesoło. Spojrzała na gospodarza i przez chwilę zatrzymała na nim oczy.

— Wybornie wyglądacie, ojczy Danielu — rzekła. — Od młodu byliście dorodni i dotąd zachowaliście się jakby cudem.

— I wy także, kumo — odrzekł stary kowal — zawsze prosta jak lilia, rumiana jak róża.

— Ba! niegdyś to tak było, mój kumie, czterdzieści lat temu, ale dziś...

— Pamiętam, pamiętam, Katarzyno, była z was co się zowie piękna dziewczeczka. No, pijcież, miła kumo.

— Powoli, powoli, już mi naprawdę czmera w głowie.

I wszyscy śmieli się wesoło. Poczciwy stary pleban Niklaus weselił się równo z drugimi. Kacper i Krystyan z odwiniętymi rękawami krążyli bezustannie wkoło stołu, krajali mięsiwo i nalewali wino w szklanki. Ludwik siedział obok Teresy, oboje dziwnie byli zadu-

mani, ale, gdy oczy ich spotkały się przypadkiem, Teresa rumieniła się, a Ludwik wzdychał i szeptał dziewczeczce do ucha:

— Jakiż to piękny dzień, jakżem ja szczęśliwy, Tereso!

I dziewczeczka spoglądała nieśmiało, a czarne jej oczy mówiły: „I jam także szczęśliwa, o bardzo szczęśliwa, mój Ludwiku“.

A za oknem skowronek śpiewał w powietrzu i kwiat biały spadał z jabłoni potrącany wieczornym wiatrem. Zachodzące słońce szeroko ożlacało widnokrąg.

Starzy towarzysze opowiadali sobie na przemian dawne dykteryjki, przerywając opowiadanie głośnym śmiechem. Daniel, zazwyczaj tak poważny i spokojny, ożywił się w dziwny sposób. Ojciec Niklaus rozprawiał także i poruszał rękoma, jak na ambonie. Kiedy niekiedy podnosił w górę pełny kielich.

— W ręce twoje, ojczy Danielu!

— Zdrowie wasze, księżo plebanie!

I czas nie dłużył się nikomu.

Noc tymczasem zapadła, zapalono lampę żelazną, uczta ciągnęła się jeszcze, i wszystkie głosy połączyły się w jeden chór, bo i synowie kowala, porwani ogólnym zapalem, spierali się na głos, czy, kując konia, trzeba zacząć od prawej, czy też od lewej nogi.

Sama tylko matka Katarzyna wpośród ogólnej wrzawy zachowała zwyczajną przytomność umysłu.

— Ojczy Frantz — rzekła, korzystając z chwili milczenia.

— Czego chcesz, Katarzyno? wszak widzisz, że rozmawiam.

— Tak, ale nie słyszysz, jak zegar bije północ.

— Północ? — zawołał ojciec Niklaus — niepodobna!

— Spójrzycie na zegar, ojczy plebanie.

— Północ, prawda, jak mi Bóg miły... o, moje dzieci, jakże to z wami czas ubiega.

To rzekłszy, powstał. Wszyscy poszli za jego przykładem.

— Mniejsza o to, ojczy Danielu, nie prędko ten dzień zatrze się w mej pamięci. Ale co powie stara Anna? Od dziesięciu lat, moi drodzy, nie wracałem tak późno do domu.

Kacper zapalił latarkę księdza plebana.

Rock odezwał się:

— No, Ludwiku, pocałuj twoją żonę. Daję ci ją, chłopcze, dla wspólnego waszego szczęścia. To mój najdroższy klejnot na ziemi.

Potem stary kowal odprowadził za próg Frantza i Katarzynę.

— Możeby was odprowadzić z latarką?

— Żartujesz sobie, Danielu. Alboć to ja nie znam drogi do młyna?

— No, kiedy tak, dobranoc, matko Katarzyno.

— Dobranoc wam, ojczy Danielu, śpijcie dobrze.

I odeszli oboje do domu.

Ludwik pośpieszył za rodzicami. Odchodząc, ucałował rękę Daniela, który z uczuciem przycisnął go do piersi.

Noc była ciemna. Daniel stał w progu i odgłos kroków nił coraz bardziej. Zdrój tylko, tocząc się po kamkach, przerywał nocną ciszę.

Chłód nocny wytrzeźwił go z odurzenia. Miał już wniść do chaty, kiedy, podnosząc oczy przypadkiem, spostrzegł na górze światełko, połyskujące wśród ciemno-

ści. To światełko czerwone, niepewne, oświecało czarny bok starej baszty. Zimny dreszcz przejął kowala, długo patrzył na buchający płomyk, skinął nareszcie głową.

— To znak Fuldrady — wyszepnął półgłosem. — Czegóż ona chce ode mnie o tak późnej godzinie?

— No, chłopcy — zawołał, otwierając drzwi — idźcie spać, już po uczcie. Kędyż jest Teresa?

— Przed chwilą poszła na górę.

— Dobranoc wam. Kładźcie się prędko, ja sam za-rygluję wrota.

Dwaj chłopcy, nie odrzekłszy ani słówka, udali się do swojej izdebki. Daniel tymczasem przekreślał klucze w zamkach i zasuwał rygle żelazne.

Chwilę jeszcze dwaj bracia szeptałi z cicha, a odgłos ich kroków rozlegał się na poddaszu.

Daniel Rock, ponury i milczący, przechadzał się długo, poważny i zamyślony, przysłuchując się bacznie, czy nikt nie czuwa już w domu.

Nastąpiła niebawem głucha cisza.

Wówczas Daniel zarzucił gruby płaszcz na ramiona, włożył na głowę trójkanciasty kapelusz, ujął w rękę gruby kostur okuty w żelazo i, stając lekko po flizach, wszedł do kuchni; otworzył potem małe drzwiczki, zamknięte na kłódkę, przestąpił próg i puścił się ku rozwalinom zamku.

Godzina pierwsza uderzyła właśnie na wieży małego kościółka, wszystkie światła we wsi już zagasły. Księżyc, przed chwilą przysłonięty, wychylił się nagle z poza chmur i srebrnym światłem rozjaśnił okolicę.

V.

Myśl poważna, uroczysta, wiodła Daniela Rocka, do zwalisk Felzenburskiego zamku.

Od lat wielu stara Fuldrata z Obernay, z dwoma nieodstępniemi kozami, osiadła w tych zwaliskach.

Wypędzona z Triefels w roku 1803, błąkała się długo od zamku do zamku, od wsi do wsi, szukając miejsca, gdzieby mogła przytulić głowę. Głosiła ona wciąż chwałę ubiegłych czasów, i z pociechą jednych, z obawą drugich przepowiadała wszystkim, że niewiele czasu ubieży a powrócą na świat mężowie okuci od stóp do głów w żelazne hełmy i zbroje.

Mieszczanie z Alzacyi i Lotaryngii uważali ją prosto za oblakana, wiejski lud widział w niej czarownicę, sam tylko Daniel Rock czcił ją, jak świętą, i z nieśmiałością, połączoną z uszanowaniem, słuchał jej dziwaczných przepowiedni.

Łatwo też pojąć wzruszenie starego kowala, kiedy po rozmowie z Eliaszem, po opowiadaniu Frantza Beneduma i po wesołej uczcie spostrzegł nagle hasło starej Fuldrady.

Było to jakby przebudzenie po uczcie Baltazara.

Daniel, który nie lękał się niczego, który dla utrzymania prawdy swojej gotów był iść w zapasy z całym światem, drżał, jak listek; strach przejął go do szpiku kości.

Ten znak utwierdzał go w podejrzeniu.

— Dziwne się rzeczy gotują — wielkie, straszne rzeczy, godzina wnet wybije, spełnią się wiekuiste wyroki!

Takie były myśli ojca Rocka.

I szedł zwolna pod górę, wśród jałowców i wrzosów, zatrzymując się niekiedy, aby złapać oddech, i pogładając na wieś, pogrążoną we śnie u stóp góry.

Noc była spokojna. Rzeka płynęła daleko, daleko w głębi ciemnej doliny, wody jej głucho pluskały po kamieniach. Promień księżyca osrebrzał strzechy domów. Lubo cały dzień trwał upał, a ziemia spalona była jak opoka, żaden owad nie odzywał się z pośród wrzosów.

Na górze sterczały najeżone skały; czarny cień padał od nich na lewo i przysłaniał dolinę Haut-Barr.

Po półgodzinnej mozolnej drodze, ojciec Daniel dotarł do stóp tych przyrodzonych szańców, otaczających wkoło stary zamek. Podkute obuwie starca i gruby kostur obijały się z łoskotem o ścieżkę wykutą w skale, prowadzącą do baszty. Gruzy obsuwały się z pod stóp jego.

Niebawem stanął na płaskim wierzchołku, naprzeciw dwóch baszt, które dotrwały jeszcze cało, mimo wichrów, burz i śnieżnych zamieci.

Starzec przystanął i popatrzył chwilę w zwaliska, na których śmierć wyryła piętno swoje.

Stosy gruzów, oplecione w jeżyny, bujne krzaki pokrzyw, dobywające się z pomiędzy szczelin muru, grobowe milezenie w miejscu, gdzie niegdyś panowała taka wrzawa, gdzie wśród szczęków oręża brzmiały rycerskie pienia i hasła wodzów, wszystko to ścisnęło boleśnie serce starego Daniela.

— Luitprandzie! — zawołał. — Rupercie! Karlu — wy, potężni moi panowie... gdzie jesteście i cóż się stało z wami?

Przelatująca sowa przeszła skrzydłami powietrze i wnet znikła w głębi strzelnicy.

Starzec, smutnie zadumany, zwrócił się ku baszcie Fuldrady. Po przeciwnej stronie wierzchołka czerwonej świeciła wskazujące drzwi baszty.

Gdy stanął u drzwi, odkrył siwą głowę i zawahał się, jakby namyślał się co czynić. W tej chwili chrapliwy głos zawołał z poza muru:

— Zbliż się, Danielu, czekałam na ciebie.

I kowal wszedł do tego gniazda ptaków nocnych, jakby do starożytnej świątyni.

Postąpiwszy trzy kroki, spostrzegł starą, która siedziała skulona przy gasnącem ognisku z wrzosów. U stóp jej spały dwie wielkie kozy. Jedna, zbudzona odgłosem kroków kowala, wyciągnęła szyję, otworzyła wielkie oczy, połyskujące złotą barwą, przewróciła się i zasnęła na nowo.

Stara baszta przedstawiała obraz zniszczenia. Sześciopiętrowe ściany, waląc się jedne na drugie, tworzyły kupę gruzów, schodki tylko kręcone, sterczały w powietrzu i niby sięgały pod obłoki. Przez otwór w górze widać było gwiazdy, jakby przez olbrzymią lunetę. W jednym zakątku, o sześć stóp nad powierzchnią ziemi wyrósł buk z białym liściem.

Fuldrada nie podobna była wcale do żywej istoty; można ją było wziąć raczej za posąg ulany ze spiżu. Skóra jej tak była cienka i przezroczysta, że przez nią wyglądały wypukłości czaszki na głowie całkiem ogolonej z włosów. Nos zakrzywiony, jak dziób ptaka, broda śpiczasta, wystająca, policzki zapadłe, oko pokryte obwisłą powieką, małe suche ręce, uszy martwe, białe jak opłatek, do tego czapeczka z plecionego włosia końskiego, spadająca na kark, wszystko to nadawało jej postać nadprzyrodzoną.



— Spójrzj tam przez strzelnicę, Danielu! — dodała.

A jednak, mimo tej zgrzybiałości, łatwo było odgadnąć, że Fuldrada była niegdyś niepospolicie piękna.

Ojciec Daniel stał nieruchomy w progu baszty, podobny do rycerza dawnych wieków, co stawał tu niegdyś na czatach z głową podniesioną, z rękoma wspartemi na włóczni, z okiem poważnem i spokojnem.

Stara przyrzuciła garstkę suchego wrzосу na ogień; w mgnieniu oka płomień wybuchnął i rozjaśnił szerniałe mury baszty, złomy zwalisk granitowych i biały buk, stojący jak świecznik w najciemniejszym kącie.

Potem, nie odwróciwszy oczu, szeptala zamyślona:

— O! Danielu, dzień się zbliża, są już widome znaki.

— Jakie znaki?

— Och! znaki złowrogie!... Spójrz tam przez strzelnicę, Danielu — i wskazała drobną ręką, nie odwracając oczu od ogniska.

Daniel Rock obrócił głowę i przy świetle księżycy spostrzegł stos powalonych kamieni.

— Co tam widzisz?

— Widzę tam wieżę i kaplicę.

— A w głębokiej framudze nie widzisz posągu Adelberga Starego — dodała Fuldrada. — Już runął.

— Runął?

— Tak jest, wczoraj, między dziewiątą a dziesiątą. I tejsze nocy stary margraf objawił się oczom moim wśród ciszy i ciemności. Pochmurny był, pochmurny, jak noc przed burzą. Wszedł na schody, coś mówił i jęczał.

Słowa starej stały się prawie niezrozumiałe, zdało się, jakby ją przerażał własny głos.

Daniel Rock zbladł, lecz nie ruszył się z miejsca.

— Mówił — powtórzyła stara, ale głos jej brzmiał tak cicho, że tylko w głębokiem milczeniu nocy sło-

wa jej mogły być dosłyszane. — Mówił: „Godzina się zbliża, góra drży“ i umilkł, mój Danielu, a lzy krwawe spłynęły mu po licach. A potem nagle krzyknął wielkim głosem: „Za mną, za mną, dzieci! — otóż ona!...“ Wtedy wszystkie wrzasy i zarośla, wszystkie drzewa zaszumiały, jakby gwałtownym poruszone wichrem. Głuchy szcęk rozległ się po okopach. Zbrojni rycerze zbiegali na pomoc: Reinhard, Ulrych, Meroweusz, Luitfried, Oton, Gerhard, Hato Czarny! Wszyscy panowie nasi, zbrojni mieczem, oszczepem i maczugą, z rozwiniętymi piórami na hełmach, rzucili się w progi kaplicy, z której dzwon uderzał na trwogę. I oddziały drabantów sunęły tłumnie za nimi. A było ich tam, miły Jezu! było ich tyle, jakby ziarn piasku na dnie morza. Dzwonnica, baszta i most zwodzony płonęły od włóczni nieprzeliczonych, jak pole, pokryte dojrziałym żytem, płonie na letniem słońcu. I stary zamek wystąpił z pod ziemi, jakby chciał ich wszystkich pomieścić. Ukazały się głębokie jego sklepienia i schody wydeptane stopami rycerzy, okutymi żelazem; ukazały się wspaniałe galerie, wieże i wieżyczki, wysokie tarasy zwieszane nad otchłanią. A dzwon bił bez ustanku... mnichy śpiewali psalmy, huczały trąby śpizowe, a konie rżały w podziemnych stajniach. Nagle spadł most, a konni rajtarzy, z Hatonem Czarnym na czele wbiegli pędem i stanęli w bojowym szyku u stóp szanieców, z przyłbicą spuszczoną, z włócznią naprzód; na górze zaś czatowali łucznicy. Nastąpiła głęboka cisza. Wtem daleko, daleko, za górami, dał się słyszeć przeraźliwy pogwizd, jakby syk siedmiogłowego smoka, a potem głuchy łoskot, niby rozhukany pęd wielkich wód, co jak nowy potop niosą zagładę światu. A rycerze z cicha szepotali między sobą: „Skąd ten ło-

skot?“—i wszyscy słuchali, a ja, ja, biedna stara, uczułam wielką trwogę. Świst rozdzierał powietrze, i już dał się słyszeć w cichej dolinie Spartzpród. I w tejże chwili czcigodny biskup Gotfried, obleczony w szatę ze złota i purpury, z długą białą brodą rozpostartą na piersi, w infule na głowie i pastorałem w rękę, otoczony orszakiem zakonników w habitach, wystąpił pomału na taras. Spojrzał przez wały, nadstawił ucha, a potem wyciągnął drżące dłonie i zawołał: „Spełniły się czasy... baranek przemógł drapieżnego wilka... Wielkie dzieła Twoje, o Panie! drogi Twoje sprawiedliwe, prawdziwe, o władco wieków!“ Tak jęczał biskup, a głos jego dźwięczny, jak śpiew łabędzia wśród obłoków, rozlegał się po górze. I brzask dzienny rozwidnił ziemię, cienie blade i blade, nareszcie z pierwszym promieniem słońca wszystko znikło. Wtedy ja, Fuldrada, spojrzałam przez otwór, zobaczyłam posąg Adelberga Starogo, leżący wśród pokrzyw i wrzosów, i odmówiłam gorącą modlitwę za umarłych.

Stara umilkła. Daniel Rock stał jak skamieniały.

— A ten pogwizd, Fuldrado — rzekł nakoniec, z oczyma błyszczącymi gniewem — ten pogwizd i ten łoskot wielkich wód, skąd one wybiegały?

— Nie wiem — zawołała stara, chwytając się oburącz za głowę z wyrazem gwałtownej rozpaczki.

— Idą z piekła! — dodała po chwili. — Anioł ciemności zbliża się na siedmiogłowym smoku... On wszystko zniwieczy... wszystko pożre... wszystko zatruje swoim jadem!

I ciszej jeszcze szepnęła:

— Mój Boże... mój Boże... czem-że to marne życie? W cóż się obrócili margrafowie Felzenburga... Geroldsec-

ku... Dagsbergu? Czemże to żywot kilku pokoleń w porównaniu z tym potokiem żywota, który płynie wiecznie, podsypany coraz to nowymi strumieniami?

Gdy wyrzekła te słowa, oczy jej znieruchomiały i utonęła w głębokim zadumaniu. Oddech, ciężki przed chwilą, stał się spokojny i lekki, głowa opadła na piersi.

— Fuldrado! — zagadnął Daniel Rock.

Nie odrzekła ani słowa, ale dwie kozy, powstawszy z ziemi, zbliżyły się do niej, wyciągnęły długie szyje i spoglądały ku drzwiom, skąd wkradł się różowy połysk zorzy.

Stary kowal pozostał jeszcze kilka minut z głową pochyloną, z zaciśniętymi ustami, jakby pogrążony w bóleści, a potem wyszedł z baszty i spojrzął na skały, rysujące się malowniczo na zamglonym tle nieba. Nakoniec oddalił się wolnym krokiem i przez głęboki parów wszedł pomiędzy wrzosa.

Zimny pot wystąpił mu na lica, lecz powziął niezłomne postanowienie.

— Zamek Felzenburski — rzekł w duchu — jest własnością Daniela Rocka; jeśli smok siedmiogłowy przybędzie tu, aby go zniweczyć, Daniel spełni powinność swoją: walczyć będzie do ostatniego technienia!

We dwadzieścia minut potem, stary kowal wszedł do domu i rzucił się niebawem na łożo. Wybiła wtedy czwarta godzina z rana. Krystyan i Kacper jeszcze spali.

VI.

Słońce wysoko już było na niebie, kiedy Daniel Rock, ubrany w szafirowy kaftan ze stalowymi guzikami, w karmazynową kamizelkę, w spodnie czarne manszestrowe i w trzewiki ze srebrnymi sprzączkami, przez kuchnię wszedł do izby poważnym krokiem.

Była to niedziela. Teresa pootwierała okna, posypała piaskiem podłogę, otarła z kurzu szafy, kredens i gotycki komin, równie jak wiszące na ścianie obrazki świętej Odylii i świętego Landolfa.

Czas był nadzwyczaj piękny, pierś rozkosznie oddychała rannem powietrzem.

Milczała kuźnia, milczał młyn, skrzypiące pługi nie ciągnęły przez wieś na pole, ucichły ligawki pasterzy, słowem, głęboka cisza panowała dookoła. Dzwon tylko z wieży kościółka, wzywający wiernych do służby bożej, rozlegał się po dolinie i odbijał o skały, wszystkimi też drogami i ścieżkami z okolicznych osad ciągnął lud, w świąteczne przybrany szaty.

Widok ten rozweselał serce, jedni też mówili do drugich: „Dobry Bóg — chwała Mu po wszystkie wieki wieków. Amen“.

Ojciec Daniel patrzył z dumą na synów, ustrojonych w białe koszule, z kołnierzem sięgającym pod same uszy, w kaftanach manszertowych brązowego koloru, spiętych na krzepkiej piersi. Oko starca było pogodne, ponure widziadła nocne uleciały mu z duszy, a świeży rumieniec rozjaśnił mu ogorzałe lica. Otworzył kredens, dobił butelkę wina i trzy szklanki postawił na stole.

— No, chłopcy, przełammy z sobą skórkę chleba, zanim pójdziemy na mszę świętą. Trzeba odświeżyć gardło, żeby się lepiej śpiewało w chórze. Nieprawdaż, mój Krystyane?

Krystyan zarumienił się po uszy. Siadał on zwykle w ławce obok organisty i przyspiewywał basem, dmąc jak miech od organu, otwierając szeroko usta, jakby chciał kogo połknąć.

Dorodna Barbara, do której Krystyan ciał zaloty, poglądała wtedy na młodziana, przypominając sobie niedzielny taniec pod dębem.

Ojciec Rock napelnił winem szklanki.

— Chłopcy! wasze zdrowie.

— Zdrowie wasze, ojcze! — odrzekli dwaj synowie.

I spełnili kielichy do dna. Czoło starca rozjaśniło się jeszcze bardziej.

— Rad jestem z was, chłopaki — dodał ojciec po chwili milczenia. — Dobrze z was dzieci, wyrosliście na chlubę i radość moją. Gdyby mnie spotkać miało nie-szczęście, pomnijcie, żem wyrzekł te słowa: największa to pociecha dla tych, co pozostają na ziemi, skoro wiedzą, że dopełnili powinności względem rodziców... wszystko niczem jest wobec tego.

— Dlaczego mówicie to, ojcze? — zagadnął Krystyan — alboż to nie jesteście pełni sił i zdrowia?

— Zapewne, zdrow jestem. Daniel Rock może jeszcze śmiało wyzwać w zapasy trzech dzisiejszych młokosów. Ale ponieważ lat siedmdziesiąt cięży mi już na grzbiecie, myślę też, że tak długo nie potrwa. Koniec końcem, ojciec wasz dziękuje Bogu, że mu dał takich synów. Może kiedyś przypomnicie to sobie.

Tak mówił ojciec Daniel głosem wzruszonym, a synowie słuchali bacznie.

— Jak słodko przemawia dziś ojciec — myśleli obaj w duchu. — Nigdy jeszcze tak do nas nie mówił.

I oczy ich zabiegły łzami.

Wtem lekkie stukanie dało się słyszeć w kuchni. Drzwi otworzyły się i weszła ustrojona Teresa. Czarne jej włosy spadały w długich splotach na ramiona. Głowę otaczało piękne czółko, wyszyte w srebrne kwiaty. Miała na sobie spódniczkę jedwabną przerabianą w różnobarwny deseń, gorsecik zielony atlasowy obcisłał udatną jej kibić, na piersi spadał złoty łańcuch.

Ojciec Rock spojrział z chlubą na córkę. Żaden szczegół ubrania nie uszedł jego baczego wzroku.

— Otóż to mi piękna góralka! — zawołał, wyciągając ku niej szerokie ręce — taką powinna być córka Daniela Rocka, kowala. Chodź tu, Tereso, niechaj-że cię uścisnę.

Teresa przystąpiła nieśmiało. Ojciec posadził ją przy sobie i patrzył na nią rozpromienionem okiem, a potem przemówił poważnie:

— Tereso, włożyłaś, jak widzę, czółko nieboszczki matki twojej, złoty łańcuch babki Anny, a spódniczkę prababki Odylii. Dobrze, rad jestem z tego. Te dzielne niewiasty przekazały ci to wszystko, aby utrzymać sławę domu. Ilekroć przywdziejesz te stroje, myśl o nich i później, że to były cnotliwe matrony, dobre matki, żony niezłomne w wierze.

Staraj się też, moje dziecko, naśladować ich przykład.

— Tak, ojcze — odrzekła Teresa, a rumieniec znikł nagle z lica dziewczyny.

— No, uściskaj mnie, a teraz pośpieszajmy na mszę świętą, już oto dzwonią po raz drugi.

Teresa uścisnęła starca, który z niepojętem wzruszeniem przytulił ją do piersi. Po chwili powstał, włożył na głowę trójgraniasty kapelusz i, wzięwszy córkę pod rękę, wyszedł z nią z izby.

Krystyan z Kacprem pozamykali drzwi, okna domu i poszli niebawem drogą, wiodącą do kościoła. Zaledwie uszli z pięćdziesiąt kroków, dziwny widok przedstawił się ich oczom.

Przed oberżą „pod Łabędziem“, najpierwszą w całej wsi, stało ośmiu nieznajomych w zielonych mundurach, w czapczkach płaskich ze srebrnym galonem, każdy z nich trzymał za uzdę dzielnego konia.

Nieznajomi rozmawiali na głos, co chwila wołali gospodarza. Wszyscy słudzy biegali jak oparzeni.

— Zaprowadzić konie do stajni.

— Cóż będzie na obiad?

— Spieszcie co żywo.

Znać, że ci panowie mieli poddostatkiem pieniędzy, rozkazywali bowiem, jakby jacy książęta. Zdawało się też, jakby sztychli sobie z tych, którzy stawali na drodze i patrzyli na nich z ciekawością.

— Patrz-no, Horacy, na ten ogromny kornet.

— Ha, ta mała wcale niczego! Rad jestem do prawdy z naszej wycieczki.

Lud wiejski poglądał w milczeniu na śpiczaste bródki paniczów, na ich wymuskane wąsiki, na ich mundury a szczególnie na piękne konie, które grzebały ziemię nogą i, zwracając głowę przez ramię, zdawały się uragać małym wioskowym szkapkom.

— To jakiś sztab jeneralski — mówili wieśniacy do siebie.

— To strażnicy celni — odpowiadali drudzy.

— Gdzie tam, to prawdziwi panowie margrafowie czy landgrafowie, mówią przecież tak głośno—dodawali inni.

Kiedy ojciec Daniel przeszedł z córką, wszyscy nieznajomi obrócili się, ciekawie poglądali, zerkając oczyma i strojąc poważne miny.

Ale kościista postać ojca Daniela i siwe oczy starca zdziwiły ich niemniej, jak łabędzia szyja dziewczynki. Zdumienie ich tem było większe, iż stary kowal, który przerastał głową całe koło ciekawych, zatrzymał się także i mierzył ich badawczym wzrokiem. Nie uszły uwagi nieznajomych zaciśnięte usta ojca Rocka, jego nos zagięty jak dziób ptaka, oraz dwie grube szczęki, wystające jakby dwie pięści poniżej ucha.

Jeden z paniczów, mały, krępy, śniadej cery, dosyć szeroki w barkach, sam jeden wytrzymał wzrok starca. Oczy obydwóch rzucały błyskawice.

Panicz ten trzymał w ręku harap rzemienny z gałką złotą. Miał on czerwoną wstążeczkę, przeciągniętą przez dziurkę od guzika, i nóż myśliwski oprawny w róg, zawieszony u pasa.

Ojciec Daniel dojrzał, że mu jakoś niedobrze z oczu patrzy.

Skoro synowie Daniela połączyli się z ojcem, wszyscy trzej wstrzymali się chwilę, nim poszli dalszą drogą. Ledwie że postąpili kilka kroków, jeden z nieznajomych zawołał:

— Prześliczna dziewczyna, daję słowo.

— Tak jest, ale stary niebardzo słodki — odparł drugi.

Ojciec Daniel, obrażony w godności własnej, obrócił głowę. W tej chwili jeden z paniczów wyrzwał przez okno i wołał na głos:

— Do stołu, żywo do stołu! Baranina z czosnkiem zastawiona!

I wszyscy pobiegli na wschody, śpiewając i pogwiżdżając wesoło. O ściany gościnnej izby obijały się ochoche okrzyki.

Daniel Rock skinął głową i szedł głęboko zadumany.

Dzwon kościelny zabrzmiał po trzeci raz, trzeba mu było przyśpieszyć kroku, ażeby przez tłum precyzyjnie się mógł do zwyczajnego miejsca. Gdy stary kowal wchodził w progi kościelne, poważny dźwięk organów rozlegał się już pod sklepieniem, a głos organisty Wielanda panował w chórze nad innymi, jak trąba ostatecznego sądu. Ksiądz Niklaus, stojąc u stóp ołtarza, odpowiadał mu słabym głosem. Lud nadbiegał tłumnie i przyklękał w kruście kościelnej, żegnając się wodą święconą.

Stary kowal przyklęknął z drugimi, powstał potem i, przeciskając się przez tłumy, poprowadził do ławki Teresę. Oblicze starca, tak pogodne rano, smutne było teraz i zachmurzone. Przez cały ciąg nabożeństwa myślał wciąż o nieznanym z oberży „pod Łabędziem“.

Mały bruent z bezczelnym wzrokiem, z najeżonymi wąsami i zuchwałą postawą, więcej od drugich zwrócił uwagę starca. Zdawało się Danielowi, że go ciągle widzi przed sobą. Krew kipiała mu w piersi, zbladł, i mimo brzmienia organów i świętości miejsca, gniew poruszał do głębi jego serce.

Teresa modliła się gorąco.

Po prawej ręce w ławce kościelnej siedział Ludwik obok starego młynarza. Młodzian tklivem okiem

poglądał na Teresę. Dzieweczka nie śmiała obrócić nań oczu, ale czuła jego obecność i tem rzewniej modliła się Bogu za niego, za ojca i rodzinę.

Ksiądz Niklaus stłumionym głosem zaintonował *Te missa est*, organy zabrzmiały i tłum zwrócił się niebawem ku drzwiom kościelnym.

Wybiła jedenasta na zegarze; przed końcem dnia ważne wypadki miały nastąpić we wsi.

VII.

Wieśniacy z Chèvrehofu, Spartzprödu i innych wsi okolicznych stali jeszcze przed kościołem, rozmawiając z sąsiadami, kiedy nagle huk bębna zwrócił uwagę wszystkich.

Ojciec Rock, który właśnie wychodził z kościoła z Teresą, spostrzegł małego Hansa, w szafirowej kurtce z czerwonym kołnierzem, bijącego w bęben co siły. Tłum cały zwrócił się ku niemu.

Daniel domyślił się, że ten bęben miał związek z przybyciem nieznanego do oberży. Przystąpił też za innymi do woźnego, ciekawy, jakie posłyszysz wieści.

Bęben umilkł, a Hans donośnym głosem wykrzyknął te słowa:

— Pan Zacharyasz Piper, mer gminy Felzenburga, oznajmia członkom rady municypalnej, jako odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie dziś po mszy świętej w interesie, obchodzącym całą gminę.

Wyrzekłszy te słowa, Hans poszedł drogą, prze-

chylając się z boku na bok i uderzając w bęben. Tłum dzieci w płasach towarzyszył mu ciągle.

Stary kowal rozkazał Krystyanowi odprowadzić Teresę, sam zaś wolnym krokiem udał się na radę muncypalną.

Dom mera w Felzenburgu, obszerny i pięknie zbudowany, był wzniesiony z ciosowego kamienia; proste schody prowadziły na pierwsze piętro, gdzie w obszernej sali odbywała się rada. Sala ta, wybielona wapnem, z podłogą sosnową, o czterech oknach z wielkim piecem kaflanym, nie miała innych sprzętów, prócz okrągłego stołu, otoczonego stolkami: wśród tych odznaczało się wyższe krzesło z poręczami, przeznaczone dla mera.

Ojciec Rock w tej pustej i obnażonej sali widział wierny obraz dzisiejszych czasów. On, który żył wspomnieniem feudalnych zamków gotyckich, pokrytych rzeźbą i malowaniem, w których żyli margrafowie uzbrojeni od stóp do głowy, w orszaku domowników, paziów, błaznów i pacholków wszelkiego rodzaju, nie mógł zrozumieć, jakim sposobem prości, jak on, wieśniacy, w pilśniowych kapeluszach i w szarych płóciennych kapotach, mogli zarządzać całą gminą. Nieraz też, kiedy Wéberlé, mały, suchy i wyżółkły na twarzy, odezwał się: „Co do mnie, żądam tego i tego“, albo kiedy gruby oberżysta Kalb, z czerwonym nosem, obwisłymi uszyna i wytrzeszczonemi oczyma, wyjąkał chrapowato: „Utrzymuję, że należy tak a tak zrobić“, lub gdy inni członkowie rady, kowale, cieśle, rolnicy od pługą, z chrapawą ręką, z twarzą ogorzałą i pooraną w brózdę, wołali na głos: „My tak chcemy“—Daniel nie pojmował ich zuchwalstwa. Zdawało mu się co chwila, że któryś z dawnych rycerzy, w hełmie z pióropuszem i szablicą w rę-

ku, wejdzie do sali, spojrzy pogardliwie na tych karków, zebranych na radę, pod przewodnictwem Zacharyasza Pipera i na widok ich parskanie głośnym śmiechem, aż się zatrząsą szyby.

I wyobrażał sobie w marzeniu, jak mały tkacz upadnie na kolana, jak oberżysta ukorzy się, błagając o przebaczenie, jak mer oniemieje z przestachu.

Gdy stary Daniel wszedł na salę, członkowie rady byli już zebrani; jeden drugiego pytał:

— Powiedzcież mi, kumie, co się dzieje, po co nas tu wołano?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to, pan mer bowiem jeszcze nie przybył.

Daniel, stojąc w progu, popatrzył z daleka na stół, i na tych, którzy go otaczali, potem przystąpił bliżej, przechodząc, uściśnął rękę starego druha, Frantza Beneduma, i usiadł niespokojny w końcu stołu naprzeciw krzesła, przygotowanego dla mera; światło z okien padało wprost na niego.

Było to zwykle jego miejsce. Zawiesił trójgraniasty kapelusz na poręczu, a oba łokcie położył na stole i szeroką ręką podparł zadumane czoło.

Z niechęcią i znużeniem przysłuchiwał się Daniel zdaniom ludzi bez znaczenia i władzy, patrzył na zebranie, jak na śmieszna i godną litości komedię.

Słowa obecnych brzmiały mu koło ucha, jak brzęk natrętnych owadów lub szum liści na drzewie.

W dziesięć minut potem roztwarły się drzwi i głos jakiś z boku zawołał:

— Otóż i pan mer!

Wtedy ojciec Daniel podniósł w górę wielką głowę, otworzył szeroko usta, ziewnął i, nie poruszywszy

łokci ze stołu, spojrział pogardliwie na pana Zacharyasza Pipera, który wchodził do sali niepewnym krokiem.

Pan Zacharyasz miał na sobie czarny frak, białą kamizelkę, zegarek ze złotym łańcuszkiem i złote okulary na nosie. Był on niegdyś pisarzem woźnego w Sarnernie, potem ożenił się z córką bogatego włościanina ze Steinbachu, która wstydziła się swoich rodziców, i bądź co bądź, chciała wyjść na panią. Pan Zacharyasz spodziewał się z czasem zostać sędzią pokoju. W tej nadziei od pięciu lat pełnił gorliwie obowiązki mera, zapisywał własną ręką akta narodzin, ślubów i pogrzebów, i co parę tygodni odwiedzał w Sarburgu podprefekta, który niekiedy raczył zaprosić go na obiad.

Daniel Rock poglądał na Zacharyasza z niechęcią i pogardą. Zakłęsłe policzki, nos śpiczasty, długi czarny frak, biała kamizelka i zegarek, słowem cała postać mera dziwnie była wstrętną staremu kowalowi. W każdym jego słowie dopatrywał niedorzeczności. Mer, ze swej strony, wzajemną odplacał mu niechęcią.

Gdy Zacharyasz Piper zasiadł w krześle, wszyscy członkowie rady municypalnej obrócili oczy ku niemu; sam nawet Daniel spojrział na tę twarz długą i żółtą jak pergamin, a w wyrazistym spojrzeniu jego łatwo było wyczytać te słowa:

— Posłuchajmy, co nam też powie. Zapewne jakie nowe głupstwo.

Nastąpiła chwila milczenia.

Mer położył na stole wielką skórzaną tekę, wydobyl z niej papier, odchrząknął i bacznie spojrzeniem obrzucił zgromadzonych.

— Panowie — odezwał się nakoniec — przynoszę wam nader pomyślną wiadomość z podprefektury, via-

domość, która uszczęśliwi całą okolicę, która podwoi wartość naszych posiadłości, zapewni chleb dzieciom naszym, słowem, przeistoczy do gruntu postać kraju. Musimy bowiem przyznać, że okoliczne ludy o jakie trzy wieki wyprzedziły nas już w postępie. Żyjemy korzonkami i jarzyną, jak za czasów Yeri-Hansa, lub Hugona Jednookiego! Iluż to policzyć między nami, którzy kupują mięso w jatkach więcej niż trzy razy do roku?... a jednak, niedaleko nas, w Lotaryngii i Alzacyi, najubożsi nawet jadają kapustę z wędzonką co niedziela. My zaś marniejemy nędznie, jak te rośliny, z których czerpiemy pokarm. Zachowaliśmy się, słusznie powiadał pan podprefekt, w ziemi gór naszych, jakby w cieplarni, wraz z przesadą, fanatyzmem i ciemnotą trzynastego wieku, nie zakosztowawszy owoców cywilizacji. Oto smutny obraz prawdy, moi panowie. Tak jest, żyjemy zupełnie jak w cieplarni... oplakany stan, a co gorsza, mamy się za bardzo szczęśliwych.

Mer umilkł na chwilę, poruszony własną wymową. Członkowie rady: Wéberlé, Kalk, Stenger, Benedum, spoglądali jeden na drugiego, zdumieni i upokorzeni na wieść, że są tak nieszczęśliwi.

Mer prowadził rzecz dalej:

— Trzeba położyć koniec temu. Rząd zwrócił na nas oczy i rzekł nakoniec sam do siebie: „Ci nieszczęśliwi mieszkańcy Felzenburga wśród ciemnych lasów swoich żyją pogrążeni w ciemnocie i barbarzyństwie. Należy ich oświecić. Otwierając kolej żelazną z Paryża do Strasburga, w interesie tego nędznego ludu, który błogosławić nas będzie w późne wieki“...

— Ale którądyż pójdzie owa droga żelazna? — przerwał żywo ojciec Benedum — którądyż ona pój-

dzie? Czy w powietrzu, czyli pod ziemią, czy też przez pola nasze? Ja sam, jeśli ma iść przez moje pole, powiadam pierwszy: „Stój!” Jem mięso, kiedy mi się podoba, i nie widzę powodu, żebym poświęcał kęs ziemi własnej na to, aby i drudzy mięso jedli“.

Głośnie wrzawa powstała w zgromadzeniu. Wszyscy członkowie rady wołali jednomyślnie:

— Benedum dobrze mówi! nie damy ani piędzi naszej ziemi pod kolej.

— I cóż to? — zawołał oberżysta czerwony od gniewu — albo ja potrzebuję, żeby sąsiad mój, Hans, albo Krzysztof jadł wędzonkę? Bylebym ja miał ją co niedziela na obiad, nie pytam się o drugich. Czyż nas mają odzierać dla dobra gminy?

Frantz Wéberlé jeszcze głośnie krzyczał dla nadania sobie powagi, gdyż całe jego mienie składało się z dwóch morgów lichej ziemi.

— Panowie radcy! panowie radcy! proszę was... pozwólcie mi dokończyć — zawołał mer — potem będzie czas na uwagi. Nikt nie myśli zabierać gwałtem pół waszych, przeciwnie, zapłacą wam potrójnie i poczwórnienie ich wartość, zresztą wy sami naznaczycie cenę.

To zapewnienie uspokoiło w mgnieniu oka umysły; radcy zasiedli znów na miejscach, wielu bowiem zwróciło się już ku drzwom, nie chcąc słuchać o drodze żelaznej.

Frantz Benedum przypomniał sobie wtedy, że Żyd Eliasz mógł zyskać wielkie sumy na łączce, którą mu sprzedał; zafrasował się tem bardzo, postanowił głosić za koleją żelazną, aby odbić stratę na pozostałej ziemi.

— Tak jest, panowie — ciągnął mer — podprefektura ma na celu szczęście... Abyście zrozumieli, jak wiel-

ki pożytek przyniesie wam droga żelazna, trzeba wam wiedzieć, że iść będzie pod górąmi, za pomocą tunelów, a ponad dolinami po mostach i groblach murowanych. Pociąg przebiegnie kilka mil na godzinę, jak mówił mi pan podprefekt. Szczególna jakaś machina obraca koła, tak, że nie potrzeba już koni. Zresztą, skoro tylko idzie, mniejsza o to, co ją porusza.

Daniel Rock siedział ponury; zaciśnięte usta i błyszczące oczy starca świadczyły o stłumionym gniewie. Znać było, że chciał mówić, lecz wstrzymywał się gwałtem.

— Posłuchajcie-ż mnie jeszcze — ciągnął mer. — Wyobraźmy sobie, że kolej żelazna ukończona, że przechodzi pod wsią Erschwiler, że przecina górę Felzenburską i wybiega na dolinę Sawerny w Alzacyi. Dzięki Bogu, nie brak nam pastwiska i lasów, ale dziś, aby sprzedać bydłę, trzeba je prowadzić za góry drogą daleką i uciążliwą. Nim się dostanie do Paryża, przechodząc z rąk do rąk, uplynie z jaki miesiąc, a bydłę wyschnie z głodu i niewygody. A już o wysyłaniu drzewa do Paryża, to i mowy nawet być nie może. Sama wywózka więcejby kosztowała, niżby nam przyszło ze sprzedaży. To też lasy nasze, główne bogactwo kraju, nie mają dziś żadnej wartości.

Ale niechaj tylko stanie kolej żelazna, a za marną cenę wywozić będziemy nasze belki i deski, ba! i całe nawet kloce, w ziarno zaś i bydło zaopatrzymy wszystkie miasta Francyi, na pięćdziesiąt mil wokoło. Zamiast gnić, jak dziś, wśród płodów bez wartości, które nie mogą znaleźć kupców, spieniężymy każdy przedmiot i będziemy bogaci!

Trzeba było widzieć naówczas rozpromienione twarze radców municypalnych. Nie krzyczeli już, nie odychali prawie, słuchali tylko z wytrzeszczonymi oczyma. Moznaby porównać ich do szczurów, namyślających się, jak wykopać tunel w serze, i zawczasu lykających już ślinkę.

Mer Zacharyasz widział z radością błogie skutki w mowy swojej i myślał sam w sobie:

— Będę sędzią pokoju, jak mi Bóg miły. Projekt przejdzie jednomyślnie, jak w Paryżu.

— A potem — dodał z zapalem — pomyślny tylko o dowozie materiałów, o szeroko otwartem polu do pracy! Najlichszy robotnik zarobi do trzech lub czterech franków na dzień, wszyscy znajdą zajęcie: i kowal, i cieśla, i kołodziej, i mularz. Trzeba zaprawdę być ślepym, aby nie widzieć, ile kraj na tem zyska.

— Tak jest — zawołał Frantz Benedum — zapłacą nam dobrze za nasze ziemie, każdy przytem dostarczać może do budowy, cokolwiek sam zechce: żelazo, drzewo, kamienie, słowem wszystko. Tak, tak, rozumiem dobrze!

Liczne głosy przywodziły chórem młynarzowi:

— Tak! rozumiemy!... rozumiemy!... Pan mer miał słuszność! — byliśmy wszyscy w błędzie.

I jedni poglądali na drugich z wyrazem niepojętej radości i podawali sobie ręce z rozrzewnieniem.

Zacharyasz Piper, widząc to, zakończył mowę w ten sposób:

— Pojęliście, panowie radcy, dogodności drogi żelaznej. Otóż to są dobroczynne działania rządu. Błogosławmy go i chwalmy, ale nie dosyć na tem: potrzeba nam pomagać urzędnikom, których przysłano tu w tym celu, potrzeba ułatwiać im pracę. Muszą pomierzyć

naprzód wasze pola. Wszelka szkoda będzie wam hojnie zapłacona, sami ją oszacujecie... Pan podprefekt spodziewa się, że wszyscy uczciwi ludzie przyłożą chętnie rękę do tej pracy. Otóż i wszystko, co wam powiedziałem. Sądzę, że nikt z was nie będzie tak wsteczny, tak przesiąkły starymi przesądami, aby nie miał pośpieszyć w pomoc tym prawdziwym dobroczyńcom naszym.

Tak zakończył rzecz pan mer, a potem zasiadł w krzesło. Członkowie rady mówili między sobą:

— Mądry to człowiek ten pan Zacharyasz! jak on wybornie mówi!... jak to jasne wszystko, co powiedział! Trzebaby w samej rzeczy być szalonym, aby nie chcieć sprzedawać ziemi, bydła i desek dziesięć razy drożej nad prawdziwą ich wartość.

Sam tylko Daniel Rock siedział ponury i milczący. Oblicze jego groźny przybrało wyraz.

— Skończyliśmy już, panie merze? — zapytał z wolna, kładąc na stole pięść mocno zaciśniętą.

— Tak jest, panie Danielu Rock.

— A więc, teraz na mnie kolej. Posłuchajcie mnie wszyscy, jak ja was słuchałem, cierpliwie, bez przerywania, choć Bóg jeden wie, jak mnie to ciężko kosztowało.

Powiodł oczyma wokół stołu i wyrzekł silnym głosem:

— Praojcowie nasi zdobyli niegdyś te góry, pod przewodztwem naszych dawnych panów. Najdzielniejszych mianowali wodzami; zbudowali im warowne grody w Nidecku, w Felzenburgu, w Dagsbergu, w Haut-Barr i na linii Wogezów. Przed nimi drżała z trwogi Bazylea i Moguncya, drżała Kolonia i Strasburg. Nie potrzeba im było kół toczących się bez koni, aby zstąpić

na pola Alzacyi i Lotaryngii lub też na równinę Pałatynatu. Spadali jak wichry na grzbiecie swych biegunów. A jednak ci ludzie karmili się jarzyną i nie jadal mięsa, chyba po wielkich łowach, lub też za powrotem z wielkich wypraw nadreńskich. Wówczas nie brakło mięsa, nie brakło też chęci do uczyty. Wino i barany z Rikiewitu i Baru lepiej zaprawdę smakowały rycerzom, gdy sami zdobyli je łupem.

Nigdyby tym ludziom nie przyszło na myśl, żeby przecinać góry i prowadzić swoje drzewo i bydło do Paryża.

Pomyśleliby sobie: „Jeśli mieszcuchy paryscy potrzebują od nas mięsa i drzewa, niech się poruszają sami, niech naładują trzosi i przybędą tu do nas. Co nam się kwapić dla nich i wozic im jądło, jakby pisklętom do gniazda. Alboż to z Felzenburga do Paryża nie ta sama droga, jak z Paryża do Felzenburga?

Nam, wieśniakom, niepotrzebne bite drogi, bo mamy w domu wszystko, co potrzeba do życia i pracy. Wielkie gościńce wymyślone dla wygody tych, co nie orzą, ani sieją, tylko bogacą się kosztem tych, którzy sieją i orzą w pocie czoła. Któż nas przekona, że ta wielka droga żelazna, co ma przecinać nasze pola, zabierać nasze ziarno, nasze bydło, nasze deski i bale, a nawet ryby z rzek i zwierzyne z lasów naszych za marną garść pieniędzy, któż nas, mówię, przekona, że budowa jej przedsięwzięta dla dobra naszego? Bylibyśmy bardzo ograniczeni, aby uwierzyć temu. Zaprawdę! jeśli ta droga przetnie kiedykolwiek te góry, zgubi nas, jak Bóg Bogiem. Będziemy bogatsi w pieniądze, to prawda, ale w czem innem strasznie zubożjemy.

Chciejcie posłuchać, a powiem wam, co będzie:

Naprzód, góry te przestaną być naszą własnością. Dziś widzujemy kiedy niekiedy kilku próżniaków miejskich, co to jedzą, piją i bawią się, nie wiedząc sami, na co ich pan Bóg stworzył; widzujemy ich, jak zwiedzają nasze skały, drzewa i potoki. Otóż, zamiast po kilku, przybywać tu będą setkami, rozejdą się po wsiach naszych, jak plugawe robactwo, zjedzą i wypiją, co mamy najlepszego, i wszystko podrożeje: gdy dziś za kure płacimy dziesięć sous, potem będziemy musieli dać za nią pięć franków. I cóż nam z tego, że będziem mieć dochód dziesięć razy większy, jeśli pieniądz będzie miał tylko dziesiątą część terażniejszej wartości?

A tymczasem stracimy nasze woły, nasze warzywa i drzewo. Powiadają nam, żeśmy dziś ubodzy! Wówczas to dopiero staniemy się nędzarzami, choć z kieszenia napchaną pieniędzmi, bo potrzeba będzie żyć z gotowego grosza, a talary prędko się toczą.

Mniejsza zresztą o nędzę, ale te roje próżniaków osiada wpośród nas i przyniosą w nasze góry swoje głupstwo, swoje występki i zwyczaje! Szydzić będą z tradycyjnych obyczajów naszych, ruszać ramionami, spoglądając na świętych naszych w kościele, i bałamucić będą dziewczęta nasze, słowem, panować będą u nas. A my będziemy musieli żyć tak, jak oni, szydzić jak oni, mówić i czynić jak oni, nosić śpiczaste brody, wyśmiewać przechodzących. Udajcie się do oberży „pod Łabędziem“, a zobaczycie próbkę tych mieszcuchów. Przybyli tu budować drogę żelazną, mają pieniądze — i otóż oberżysta kłania im się do ziemi.

Czekajcie, nie dokończyłem jeszcze.

Dajmy na to, że zyskamy więcej pieniędzy. Alboż dlatego będziemy żyć dłużej? będziemy jeść więcej, niż trzy razy na dzień, jak dotąd? spać smaczniej, niż teraz? Och, nie! sen ucieknie nam z powiek, bo nas opakuje chęć zysku i wypłoszy nam z serc prostotę i poczciwość a nawet wiarę w Boga!

Daniel Rock, który dotąd zachował kapelusz mocno naciśnięty na oczy, zdjął go uroczyście i prowadził rzecz dalej:

— Otóż skutki tej drogi żelaznej dla dzieci naszych. A my w ich oczach staniemy się bydłem, karmionem barbarzyńskimi przesądami, wiarą w Boga i w świętych, poszanowaniem starców, umiłowaniem pracy. I będą pogardliwie patrzeć na nas, jak na istoty wyhodowane w cieplarni z fanatyzmem i ciemnotą XIII-go wieku. Tak pan mer powiedział nam przed chwilą.

Ojciec Daniel umilkł. Lica jego przybrały trupią błądź. Cisza panowała głęboka, można było słyszeć muchę przelatującą w sali. Stary kowal skupiał myśl w duchu. Nagle wyciągnął obie ręce i zawołał donośnym głosem:

— Och! czemuż nie mam skrzydeł orła! czemuż nie mam głosu piorunów! Podniósłbym się w obłoki, i słowa moje rozgrzmiałyby na polach i dolinach, i powiedziałbym: „Dzieci, bacność! duch ciemności krąży wokoło pól waszych i wnet przypełźnie w ciche doliny wasze! Dzień zepsucia już bardzo blizki, smok siedmiogłowy syczy na zgubę waszą. Jeśli brak wam odwagi, aby mu stawić czoło, jeśli nie pochycicie za motykę, aby zniszczyć ową drogę podziemną, biada wam! biada! — zgubieniście na wieki.

Daniel Rock spełnił powinność swoją! On żąda, aby zapisać w protokóle rady, jako jeden góral, z rodu najdawnniejszego we wsi, sprzeciwia się drodze żelaznej. Czy koła obracać się mają same, czy też ciągnione końmi, mniejsza o to, on nie pozwoli, by droga szła przez jego ziemię i nie przyłoży ręki do bezbożnego dzieła!

Ojciec Rock, wyrzekłszy te słowa, nakrył głowę i usiadł z powagą.

— Panie Rock, wasza protestacya nic nie znaczy — odrzekł Zacharyasz Piper — rząd postanowił budowę drogi żelaznej i wola rządu spełnić się musi. Zresztą członkowie Rady pojmują dobrze, iż droga żelazna nie jest wcale smokiem siedmiogłowym.

— Nie, nie! to wcale nie smok — zawołał Kalb oberżysta — smok przyjdzie dopiero w końcu wieków.

Kilka głosów odezwało się razem:

— Ojciec Daniel mówi umyślnie takie rzeczy, żeby nas odwieść od podpisania.

— Tak jest — przerwał Daniel — chcę was odwieść od podpisania wyroku wiekuiestej zguby waszej.

— Milczeć, panie Rock! — zawołał mer oburzony.

— Ja mam milczeć? ja?

— Tak jest.

— I ten człowiek, ten przybysz, śmie rzucić mi w oczy takie słowa? — zawołał kowal grzmiącym głosem, porywając się z miejsca jak wściekły.

Już miał się rzucić na Zacharyasza, kiedy Frantz Benedum pochwyił go z tyłu za barki.

— Danielu — rzekł — Danielu, co chcesz robić?

— Puść mnie, Frantz — zawołał starzec — puść mnie, bo cię poszarpię na kawałki.

— Nie! ja cię nie puszcze!...

— Frantz, strzeż się, puść natychmiast!

— Nie, gniew zaślepia cię, mój Danielu, sam nie wiesz, co czynisz.

— Jakto, nie wiem, co czynię? A więc nie rzekłem prawdy?

— Godziż nam się odrzucać bogactwa, gdy same idą nam w ręce?

Śmiertelny dreszcz przeniknął wskrós kowala. Zadrżał od stóp do głowy.

— Dobrze więc — odrzekł — puść mnie, nie zrobię mu nic złego. Chcesz się wzbogacić? A więc wzbogać się do woli; odtąd wszystko między nami skończone.

I wyszedł z sali wolnym krokiem. Członkowie rady podpisali projekt.

— Panie Benedum — rzekł mer — dziękuję wam za odważne pośrednictwo, ale musimy głosować na wykluczenie z obrad tego niebezpiecznego człowieka, który gotów powrócić jeszcze i siać niezgodę między nami.

— To rzecz zbytuczna, panie merze, znam go: on nie powróci! — rzekł smutno stary młynarz.

— Głosujmy jednak dla porządku!

I wykluczono Daniela Rocka z rady municypalnej.

W tej chwili stary kowal przechodził most naprzeciw kuźni. Frantz Benedum spojrzał za nim przez okno; spostrzegł, jak Daniel wyciągnął uroczyście obie ręce, jakby rzucił klątwę na radzących i na wieś całą.

Okropny to był widok.

VIII.

Serce Daniela ściśnięte było ciężkim bólem, jakby je kto w żelazne ujął kleszcze. Po tem, co zaszło na radzie municypalnej, zwątpił o najdawniejszych przyjaciółach, zwątpił o całej wsi, lecz ufał jeszcze sobie, czuł się niezwyciężony.

Wszedłszy do mieszkania, znalazł Teresę siedzącą przy stoliku, zamyśloną, smutną, bo i słońce zaszło za chmury, i miało się jakoś na burzę.

— Tereso, — spytał ojciec — kędyż są bracia?

— Grają w kręgle u ojca Roemera — odrzekła dziewczka.

— Idź po nich, powiedz, że ich tu czekam.

Teresa wyszła, starzec zasiadł w krześle z poręczami, na którem siadał ojciec Niklaus. Położył na stole trójkanciasty kapelusz i wpadł w głębokie zadumanie.

Wkrótce przybyli chłopcy, z odwinietymi rękawami od koszul i twarzą zarumienioną.

Starzec rzucił okiem na szerokie ich barki i pomyślał w duchu:

— No, chwała Bogu, rodzina Rocków jeszcze żyje. Biada temu, kto się poważy porwać na nią!

— Chłopcy — zawołał, zwracając się do synów. — potrzebuje naradzić się z wami. A ty, Tereso, możesz wyjść. Idzie tu o ważną sprawę; do takich rzeczy kobiety nie powinny się mieszać.

Teresa wyszła do kuchni.

Synowie kowala stali zdumieni: Daniel Rock nie radził się nigdy nikogo; szedł we wszystkim za własną wolą i oburzał się na wszelkie przedstawienia.

Owóż teraz chciał zasięgnąć ich rady, widzieli więc w tem coś nadzwyczajnego.

Daniel zrozumiał zdziwienie synów.

— Jesteście już ludźmi — rzekł po chwili — ojciec potrzebuje dziś rady waszej. Któż mu lepiej poradzi, jeśli nie własne dzieci, związane z nim jedną myślą i jednakiem uczuciem? Siadajcie więc i słuchajcie, co powiem.

Zasiedli obaj, a stary Daniel jał opowiadać, co zaszło na radzie municypalnej, przytaczając w porządku wszystkie słowa i odsłaniając wiernie całą prawdę. Głos dziwnie drżał mu w piersi, znać, że zniewaga, zrzadzona przez mera, burzyła mu jeszcze krew w żyłach.

Synowie słuchali go bacznie, zdumieni zuchwałością Zacharyasza Pipera, zdradą Frantza Beneduma i spokojnością ojca w tak burzliwych okolicznościach.

— A zatem — zawołał Daniel, opowiedziawszy całą przygodę — a zatem Daniel Rock, jedyny w całym zebraniu, którego naddziady trzebili w tych górach lasy nietknięte ludzką stopą, jedyny, który zachował starodawne zwyczaje zacnego rodu, Daniel Rock zmuszony był umilknąć przed Zacharyaszem Piperem w czarnym fraku i białej kamizelce, przed tym przybyszem, co udaje pana, świecąc w oczy złotym łańcuszkiem i złotymi okularami, co nie dba o dobro kraju i ugania się tylko za korzystnym urzędem. I taki to człowiek powiedział do mnie w oczy: „Danielu Rock, milczeć!“ I ja musiałem umilknąć, a cała starszyzna wiejska, Diemer, Kolb, Benedum, cała, mówię, starszyzna oświadczyła się za nim. Wszyscy wołali, jak jeden: „Ojczyźnie Danielu, strzeż się!“, jakby tu szło o Boga. Wszyscy potakują mu, szanują go i czczą, bo przyrzeka im pieniądze, bo zapowiada

ogromne zyski, bo wskazuje środki sprzedaży desek i bydła. Pieniądze u nich wszystkim; dawne pamiątki i obyczaje praocjów ważą sobie za plewę! Wyganiają Daniela z sali obrad i myślą, że wszystko skończone.

Stary kowal umilkł na chwilę, kościste rysy jego straszny przybrały wyraz, tem straszniejszy, że na pozór spokojny; lica jego zbladły, wielki nos wyciągnął się jak dziób jastrzębia, drżące usta wykrzywiły się dziwnym, szydlerczym uśmiechem.

— I myślą, że wszystko skończone — dodał pomału — a więc mylą się, mylą, jak Bóg na niebie! Daniel Rock opuścił radę, to prawda, lecz stoi u stóp góry, ta góra należy do niego. Jeżeli stary Żyd targował ją z gruzami i wrzosem, to dlatego, że kolej ma zapewne iść przez tę górę, bo Eliasza nie wyrzuci pieniędzy przez okno. Tu, Daniel Rock stoi, tu czeka z młotem na ramieniu... biada temu, kto pierwszy postawi tu stopę! tak, chłopcy, biada temu, kto się wdrze na szaniec!

Niechaj Bogu poleci duszę swoją! Będzie to bitwa straszna, jak one bitwy, zapisane w kronikach! Ha, ha! ci, co nas przeżyją, zapiszą ją dla potomności. Daniel Rock upadnie, musi upaść! — tak przeznaczono... ale niejedynemu będzie gryzł ziemię, zacem Daniel odbierze cios śmiertelny!

Starzec, mówiąc te słowa, upajał się ich dźwiękiem, uśmiech rozjaśniał mu usta, oczy jego dziwnie błyszczały. Tak wygląda stary orzeł, gdy wyciąga szpony, gotów spaść na upatrzoną zdobycz.

Synowie poglądali na ojca z uwielbieniem, na ich wyrazistych twarzach, jakby w zwierciadle odbijał jego zapal. Żaden z nich nie ośmielił się wyrzec słowa.

— Postanowiłem czekać — dodał po chwili Daniel znacznie uspokojony — nie postąpię naprzód ani kroku, ale będę czekał, niewzruszony jak skała. Co do was, inna rzecz, moi chłopcy: jesteście obaj młodzi i pracowici, przed sobą macie długie lata. Ja zaś znużony jestem tym nowym światem. Ta droga wymaga wielu robotników, a więc przyłóżcie rękę do niej, albo też szukajcie szczęścia w innych, dalekich stronach. Oddaję wam wszystko: kuźnię, dom, sprzęty, ziemię, pieniądze — słowem całe mienie... wszystko wasze, oprócz tych zwalisk. Idźcie, synowie moi!... szczęście idzie w parze z młodością. Uściśnijmy się... a potem zostawcie mnie samego.

Na te słowa szczerą boleść przepełniła pierś chłopców.

— Wypędzasz nas, ojcze? — zawołał Krystyan ze łkaniem.

— Czyżemy na to zasłużyli? — dodał Kacper.

— Ja! miałebym was wypędzać, dzieci moje? — rzekł Daniel rozrzewniony — bynajmniej, chcę tylko, żebyście żyli... Pamiętajcie, że będziemy sami jedni przeciwko wszelkiej władzy. Choćby każdy z nas powalił pięćdziesięciu, jeszcze to nic nie znaczy. Patrzcie na one dęby w lesie pod siekierami drwałów. Długo się opierają, na koniec jednak muszą upaść... tak, muszą koniecznie!... Miałebym wypędzać was od siebie? nie! Pragnę tylko ocalić was od zguby!

— A my — odparł zimno Kacper — nie chcemy być ocaleni, chcemy walczyć przy boku twoim, ojcze.

— Tak, chcemy umrzeć z tobą — dodał Krystyan — myślimy tak, jak ty, wierzymy w to samo, w co ty wierzysz. Gdybyśmy cię zostawili samego, byłaby to nikiem-

mna podłość. Wolimy stokroć umrzeć, aniżeli opuścić ciebie.

— Dobrze, chłopcy — odparł Daniel stłumionym głosem.

I siwe oczy starca zabiegły łzami.

— Macie słuszość, umrzyjmy lepiej razem!

I wyciągnął ku nim obie ręce.

— Uściśnijmy się, rzecz skończona.

Wszyscy trzej uścisnęli się z całego serca.

Twarc starca dziwnie była blada. W rysach młodzianów odbijało spokojne lecz niezłomne postanowienie.

— Niespokojny tylko jestem o Teresę — rzekł starzec. — Co pocnie biedna, kiedy nas już nie będzie? Sama, opuszczona, bo z Ludwikiem skończona rzecz na zawsze.

Domawiał właśnie tych słów, gdy Teresa, blada jak posąg marmurowy, lecz spokojna w boleści, otworzyła drzwi, zbliżyła się do ojca i uklękła z cicha u stóp jego.

— Wszystko słyszałam — rzekła — nie trwóż się o mnie, ojcze, twoja córka nie odstąpi cię nigdy. Ona nie może walczyć, ale może się modlić, może przechować święcie pamięć twoją, gdy ciebie już nie będzie; może czytać stare kroniki, któreś tak lubił. I nie zostanie sama, bo duch twój będzie ją nawiedzał, tak samo jak duchy naszych rycerzy nawiedzają starą Fuldradę w gruzach zamczyska i rozmawiają z nią o przeszłości.

Daniel, słysząc te słowa, pozostał chwilę jakby w uniesieniu, pochylił się potem do córki i przycisnął ją do serca.

— To piękne, moja Tereso, — szepnął — to piękne, coś mi powiedziała. O, zaprawdę, krew Rocków, starych kowalów i płatnerzy, o których piszą kronikarze,

przechowała się w nas wszystkich, ale na ciebie, moje biedne dziecko, spadnie całe brzemie naszych nieszczęść. Niczem śmierć, odważny człowiek nie patrzy wcale na nią. Ale życie!... życie w cudzym domu, życie kobiety bez opieki, bez wsparcia!... to prawdziwe nieszczęście, tego też lękam się dla ciebie, Tereso. I ty chcesz zapomnieć Ludwika, który cię kocha, którego ty kochasz nawzajem?

— O, tak! kocham go, ale bardziej cenię cześć domu naszego, bardziej jeszcze kocham świętą powinność.

Błyskawicą dumy zajaśniało czoło Daniela.

— Chłopcy! — zawołał — czy sądzicie, żeście odważni? Patrzcie oto na siostrę waszą: ona enotliwsza od nas wszystkich. Jakżem ja dumny, żem jej ojcem! Tak, słusznie mówi, krew Rocków i Benedumów nie może płynąć razem. Stary młynarz myśli tylko o pieniądzach, a ja pogardzam nimi.

— A jednak — dodał smutno po chwili milczenia — Ludwik poczciwy chłopiec. Jakże mi ciężko powiedzieć mu w oczy: „wszystko między nami skończone! idź precz!“

Teresa pochyliła głowę na łono starca. Słysząc było ciche jej łkanie. Piękna jej szyja biała, po której wiły się czarne włosy, drgała od stłumionego płaczu.

Bracia patrzyli na nią z uczuciem nieporównanej litości.

Kiedy ojciec Daniel wyrzekł ostatnie słowa: „wszystko między nami skończone! idź precz!“, Teresa wyszeptała cichym głosem:

— Pozwól, ojczé, ja powiem mu to sama! Ty wyrażasz się trochę ostro... mógłbyś mu zranić serce, oskarżając jego rodzinę. Ja sama pomówię z nim o tem.

Na ten dowód miłości i delikatnego uczucia starzec powstał i wyszedł z izby, aby ukryć łzy, wydobytą się gwałtem z pod powiek.

I powrócił wkrótce uspokojony.

Godzina obiadowa oddawna już minęła; zasiedli też wszyscy do stołu. Teresa odmówiła krótką modlitewkę, potem wyszła do kuchni. Ktoby widział kowala siedzącego u stołu pośród synów, poważnie i milcząco, jak zwykle, nie przypuściłby nigdy, że coś nadzwyczajnego zaszło dziś między nimi.

IX.

Gdy rzeczy odbyły się w ten sposób w domu Daniela Rocka, połowa wsi stała przed oberżą „pod Łabędziem“.

Z głównej sali gościnnej rozlegał się nazewnątrz odgłos piosenek, śmiechu i szalonych okrzyków. Sługi przebiegały raz wraz po korytarzu, niosąc kosze wina, i półmiski, pełne pieczonego mięsiva, szynki, kiełbas, ciast ze śliwkami i przysmaków wszelkiego rodzaju.

Rzekłby kto, że budowniczy i inżynierowie drogi żelaznej chcieli w jednym dniu spożyć wszystkie zapasy; uczta Baltazara niczem była w porównaniu.

I przez okna otwarte widać było tych panów, jak powstając od stołu, podnosili w górę kielichy.

— Zdrowie Juliety!

— Zdrowie Charlotty!

— Zdrowie Malwiny!

Inni pili, rozparci na krzesłach, z wyciągniętymi

nogami, pogwizdując piosneczkę i uzalając się, że w tym nędznym kraju niczego dostać nie można, nawet lodu wśród lata. Przyganiiali dziewczętom, że mają uszy czerwone, gospodarza zwali osłem, a kucharkę trucicielką, każdy jednak jadł i pił za czterech.

Lud z daleka poglądał z ciekawością.

Kiedy niekiedy któryś z tych panów z zatłuszczo-
ną brodą i mokrymi wąsami zbliżył się do okna i pars-
knął śmiechem na widok biednych włościan.

— Głupcy, jak to się przyglądają. Ha! ha! ha! Cy-
pryanie, Horacy, patrzcie na tych gapiów, jak łykają
ślinkę na widok pieczystego.

I, wykrzywając się dziwnie, wracali do stołu, a inni
z kolei ukazywali się w oknie, zaczerwienieni, z oczyma
obrzękłymi. A uczta przeciągała się bez końca.

Widok ten wprowadził w podziwienie poczciwych wie-
śniaków: stare kumoszki przysięgały, że nigdy w życiu
nie widziały nic podobnego, i gwałtem odprowadzały do
domu córki, które poglądały na ucztę z ciekawością.
Dzieci włąziły na płoty i na dachy przeciwległych domów,
aby zajrzeć w głąb sali. Ojciec Niklaus, posłyszawszy
o uczcie „pod Łabędziem“, gorszył się niewymownie.
Najwięcej jednak ze wszystkich zdumiewał się oberży-
sta Schwartz i żona jego Orchel, widząc, co się dzieje
w ich domu.

Schwartz nie trwożył się wcale o zapłatę, wiedział
on, że inżynierowie drogi żelaznej mają poddostatkiem
pieniędzy. Mały brunet, pan Horacy, ten sam, który
z rana spotkał się oko w oko z Danielem, zamówił wszyst-
kie izby w oberży. Tłumoki i worki podróżne odpowia-
dały za wydatki. Byli to, jak widać, panicze, mimo to
Schwartz płonił się od gniewu, gdy pan Horacy, wło-



Każdy wziął na rękę po jednej z pań.

żywszy szkielko w oko, poglądał na córkę jego, Katarzynę, i uśmiechał się do niej.

Matka Orchel, zajęta od rana skubaniem kurcząt i kaczek, pieczeniem ciasta i innymi przyrządami do uczy, siedziała jak na rozpalonych węglach, słysząc z daleka głośnie śmiechy i wrzawę.

— Schwartz! Schwartz! — wołała co chwila.

— Czegóż chcesz?

— Co oni tak krzyczą? Powiedz Kasi, niech tu natychmiast przyjdzie.

— A przecież jej nie zjedzą.

— Słyszę, jak się śmieje. Niech mi tu przyjdzie zaraz, inaczej rzucam wszystko.

— No, nie gniewaj się, Orchel, sprowadzę ją natychmiast.

Schwartz przeklinał gości swoich, a jednak za nic w świecie nie byłby ich wypuścił z domu. Drżał na myśl, aby nie przenieśli się do oberży Kalba, jego zaciętego nieprzyjaciela.

Podczas gdy biedak kręcił się i pocił, pragnąc dogodzić wszystkim, wrzawa powstawała coraz większa, korki strzelały, kielichy głośnie brzęczały.

Po obiedzie zażądano deseru, po deserze kawy, kirszu i cygar.

Nowy kłopot: w całej wsi nie było ani jednego cygara. Wówczas dopiero powstał krzyk na oberżystę.

Szczeńciem, pan Horacy miał z sobą całe pudelko cygar; rozdzielił je więc pomiędzy towarzyszków. W mgnieniu oka tuman dymu ogarnął całą salę. Pan Horacy zanucił śpiewkę z opery Rossiniego, pan Cypryan wtórował mu basem.

Dym cygar przywiódł im smutne myśli. Jeden za-
lił się na wygnanie, drugi utyskiwał, że w operze mają
właśnie przedstawiać Wilhelma Tella, a wszyscy, ko-
lyszając się na krzesłach, widocznie okazywali znudzenie.

Zacharyasz radził, aby sprowadzić ze wsi Fejfra
klarncę, który grywał na wszystkich weselach. Cy-
pryan chwycił się tej myśli, inni zbijali ją głośno.

Nastąpiła zacięta sprzeczka, i Bóg wie, do czego by
przyszło, gdy na szczęście pan Zacharyasz Piper, w czar-
nym fraku i białym krawacie, wszedł do sali z głębokim
ukłonem.

— Panowie! — rzekł — jakżem szczęśliwy, żeście
znaleźli jakie takie schronienie w tem pustkowiu, na
tym niewdzięcznym stepie amerykańskim.

Na te słowa wszyscy parsknęli głośnym śmiechem.

— Ha! pan mer! pan mer! — wołali na wyścigi —
jakież to szczęście!...

Pan Horacy powstał i z powagą podał mu krzesło.

— Racz pan usiąść — rzekł — przyjmij filiżankę
kawę.

— Och! panie naczelniku, wdzięczny jestem, to zbyt
wiele honoru dla mnie.

Usiadł. Podano mu kawę.

Paryżanie radzi byli z gości. Cypryan żałował, że
mer nie przybył wcześniej, by obecnością swoją nadać
uczucie charakter urzędowy.

Na ten komplement pan Zacharyasz pochylił głowę
tak, że sięgnął długim nosem w głąb filiżanki.

— Mnie raczej wypadałoby żałować — odrzekł z u-
nizonością. — Jakżby to był zaszczyt dla mnie, pro-
stego urzędnika wiejskiego, zająć miejsce przy stole
obok luminary wieku, obok ludzi uprzywilejowanych

nauką, geniuszem, którzy przybyli spełnić wielkie dzieło
narodowe. Tak, zaszczyt to dla mnie nieporównany.

Podobały się wszystkim owe pochlebne słowa.

— Ten mer człowiek dorzeczny i wymowny — po-
myśleli w duchu — wart szacunku naszego.

— Wdzięczni jesteśmy bardzo za uznanie — od-
rzekł pan Cypryan — panie merze, chciej przyjąć kie-
liszeczek kirszu.

— Z prawdziwą przyjemnością... Jednakże — dodał
pan Zacharyasz, prostując się — jednakże i w skrom-
nym zawodzie moim zdarza się niekiedy sposobność
oddać przysługę społeczeństwu, przyłożyć się czynnie do
postępu cywilizacyi, dla której panowie tak zaszczytnie
pracują. Dziś naprzykład...

— Jakże to było? — przerwał Cypryan — chciej
nam pan opowiedzieć.

— Tak, panowie!... dziś otworzyłem oczy radzie mu-
nicypalnej i przynoszę jednomyślne podpisy na drogę
żelazną. To usuwa wiele trudności.

I mer opowiedział z dumą zajście ze starym Ro-
ckiem, wystawiając niebezpieczeństwo, na jakie był na-
rażony, gdyby nie bohaterska odwaga młynarza.

Wszyscy okazali wielki podziw. Pan Horacy przy-
pomniał sobie starego kowala, w czerwonej kamizeli,
wielkim trójkanciastym kapeluszu, z długim zagiętym
nosem i siwemi oczyma.

— Tak, to on — rzekł pan Zacharyasz — otóż wy-
kluczylismy go z rady.

Pan Cypryan miał coś odpowiedzieć, gdy jeden z pa-
niczów, stojąc w oknie, zawołał na głos:

— Co widzę, Julietta!

I powstał głośny okrzyk, wszyscy pobiegli do okien, pan mer został sam jeden u stołu przy filiżance kawy. Nikt już nie myślał o nim, on jednak czuł się uszczęśliwiony i uśmiechał się, jakby wszyscy poglądali jeszcze na niego.

Powszechna uwaga zwróciła się na wielki wóz drabiniasty pełen wystrojonych pań, toczący się od strony Phalzburga.

Młode kobiety, strojne w jedwab, kwiaty i pióra, zwróciły uwagę powszechną. Wieśniacy z uniesieniem poglądali na ich wdzięki i głębokim czcili je pokłonem.

Wóz toczył się z góry, grzęznąc w piasku po same osie. Julietta siedziała na przodzie, w błękitnej jedwabnej sukni, za nią Malwina, wysoka brunetka, ubrana różowo, pierwsze miejsce zajęła piękna Diana z czarnem okiem i bladą cerą, strojna w białą muslinową sukienkę. Za paniami widać było cały rój subrettek, szczebioczących na wszystkie tony, jak ptaszęta. Wśród tego grona siedział na wozie młody blondyn, przybrany w suknie nankinowe i biały krawat; twarz miał rumianą, pełną, oko błękitne. Był to pan Anatol, sekretarz pana Horacego.

Wszyscy goście z „pod Łabędzia“ wybiegli naprzeciw zbliżającego się wozu. Horacy ścisnął rękę Diany.

— Drogi Anatolu — zawołał — jakież to poświęcenie. Poznają twoją przyjaźń.

Anatol westchnął ciężko.

— Czegóżbym — rzekł — nie uczynił dla ciebie, mój drogi. Prawdziwie odwaga żon waszych i kucynek godna podziwienia. Co do mnie, upadam od trudu.

To rzekłszy, otarł twarz batystową chusteczką.

Wokół wozu słychać było głośne okrzyki:

— Julietto! Malwino! Cypryanie!

Nareszcie wóz stanął przed oberżą. Paryżanki zsiadły zgrabnie, lekkie jak piórka, i pobiegły na górę z głośnym śmiechem. Wieśniacy poglądali zdumieni.

X.

Przepowiednie Daniela Rocka poczęły się wypełniać. Odwieczna osada Felzenburska, gdzie od tylu wieków panował cichy spokój, gdzie żyły w sercach odwieczne tradycje, gdzie kwitła nieskażona wiara praojców wśród niezmaconej ciszy, miała doznać gwałtownego wstrząśnienia.

Po przybyciu paryżanek wzmogła się powszechna wesołość. Przez całą godzinę słychać było tylko śpiewy, tańce, brzękanie butelek i kieliszków. Szyby trzęsły się w całym domu.

Młode panie, pozrzucawszy kapelusiki i szale, w płasach rozbiegły się po sali. Pan mer Zacharyasz, przyparty plecami do ściany, wytrzeszczył oczy i przyglądał się z zajęciem. Schwartz stał w progach domu swego, a matka Orchel zadziwiona w kuchni.

— Jezus Marya! — wołała biedna kobieta — cóż to się dzieje?... O, mój Boże! mój Boże! jeżeli to potrwa z jaki tydzień, zginęliśmy ze szczętem... Dom zawali się, jak Bóg w niebie!

Przed wieczorem nastąpiła chwilowa cisza. Paryżanki, szczęśliwe jak królowe, stanęły w otwartych oknach. Niedługo to potrwało. Mrok zapadł... wołano ze wszystkich stron o światło.

— Szampana! szampana — odezwały się liczne głosy z brzękiem talerzy i noży.

Schwartz zapalił miedzianą lampkę, wniósł ją do sali i spostrzegł, jak młode panie, siedząc wokół stołu, trzymały w ustach zapalone papierki i wybijały takt trzonkami nożów, wołając chórem:

— Szampana! szampana!

Oberżysta zbladł, przystąpił do naczelnika i szepnął mu na ucho, że niema szampańskiego wina w całym Felzenburgu, że wcale nie mają go we wsi.

Naczelnik zerwał się z krzesła, założył ręce i krzyknął grzmiącym głosem:

— Nie macie nic, ani lodu, ani cygar, ani szampana! nic, co się zowie, nic!

— Oddałem wszystko, co miałem w domu — rzekł Schwartz — jeśli panom nie dosyć na tem, przeniescie się w Imię Boże do sąsiada mego, Kalba, jam nie przywykły do takiego harmidru.

— Nie przywykłyś, panie oberżysto? a więc zaprawimy ci uszy. Przywołać nam zaraz klarncistę.

— Tak, tak, klarncistę! — zawołano chórem.

I paryżanki zerwały się od stołu i w płasach obiegały salę, wołając chórem:

— Szampana! Szampana!

— Panie merze — zagadnął Schwartz — chciej pan przywołać ich do porządku.

Ale pan Zacharyasz Piper nie myślał zadość uczynić woli oberżysty.

— Twoja wina, panie Schwartz — zawołał z gniewem — powinieneś mieć wszystko. Czemże oberża bez szampana? Wstyd, hańba dla wsi... Wynoś się z Felzen-

burga, natychmiast oskarżę cię przed panem podprefektem!

Pan Zacharyasz tak był oburzony, że pan Horacy, rad nie rad, musiał wdać się w tę sprawę.

— Skoro pan naczelnik tego żąda — odparł mer — dam pokój zaskarżeniu, ale biada ci, jeśli do jutra nie będziesz miał szampana! Jakto! śmiałeś powiedzieć tym zacnym panom, którzy przybyli tu, aby uszczęśliwić kraj, przynosząc mu światło cywilizacji, tyś śmiał powiedzieć, że nie masz szampana? że mogą poszukać go gdzieindziej? Wstydź się, ja sam rumienię się za twoje grubiaństwo!

Tak mówił pan mer, pełen szlachetnego oburzenia; młode panie mówiły między sobą:

— Ma słuszność ten mer... powiedział bardzo pięknie. My przynosimy światło cywilizacji pomiędzy dziełkami... należało wszystko przygotować, tymczasem odmawiają nam szampana.

I oczy wszystkich zwróciły się na Schwartz'a z gniewem i pogardą. Odszedł biedak przekonany o swej winie.

Wrzawa wzmagała się coraz bardziej, odgłos okrzyków obijał się o skały Felzenburga. Butelki i szklanki szczękały, noże biły o stół z łoskotem. Paryżanki, widząc, że mają za sobą mera, domagały się szampana coraz głośniejsze.

Wśród powszechnego zgiełku dał się słyszeć przeźrażliwy ryk osła.

— Wszyscy umilkli, a po chwili parsknęli głośnym śmiechem.

— Tego jeszcze brakło do całej orkiestry — zawołała Julieta — przybywa w samą porę.

— Pyszny bas — rzekł Anatol.

Ryk osła dawał się słyszeć coraz bliżej, aż nakoniec umilkł.

— Jaka szkoda! — rzekła Malwina.

— Szampana! szampana! — powtórzyły znów liczne głosy.

— Oto jest, oto jest! — odezwał się głos jakiś z poza domu — he, he, he!

Wszyscy pobiegli do okien i z podziwieniem ujrzeni siwego starca, zgiętego we dwoje, z bystrym wzrokiem i nosem haczykowatym. Był to Eliasz Blum. W każdej ręce trzymał długą butelkę z szyją połyskującą srebrnym papierkiem.

— Otóż i szampan! — zawołano — silna wola zwycięża wszystko.

— Poczciwy stary! — wołały wszystkie głosy.

— He! he! wiedziałem, że mnie panowie z radością powitacie.

W tej chwili weszła służąca, wnosząc na tacy długie kryształowe kieliszki.

Eliasz o niczem nie zapomniał.

Korki strzeliły z hukiem. Horacy trzymał jedną butelkę, Cypryan drugą, panie nadstawiały kieliszki.

— Wyborne wino — zawołał Horacy — ale gdzież się podział nasz stary?

Eliasz wyszedł na chwilę i powrócił znów, niosąc cztery butelki szampana, dwie pod pachą, dwie w rękę.

Trudno opisać radość, zdziwienie wszystkich.

Horacy wstał od stołu, wskazał przy sobie krzesło Eliaszowi, ale stary lis nie chciał przystać na taki zaszczyt.

— Panie naczelniku — wołał rozczulony — nigdy

sobie tego nie pozwolę. Szczęśliwy jestem, że dogodził panom. Robilem, co mogłem, wszak to powinność moja. Panowie jesteście dobroczyńcami kraju — wspieracie handel... a ja lubię handel... Ile razy przejeżdżam przez te góry od pięćdziesięciu lat, serce mi się kraje, gdy widzę, że kura ledwie tu warta dwanaście sous, choć mogłaby być warta czterdzieści, i że drzewo nie ma tu żadnej wartości. Myślałem sobie nieraz: co tu pieniędzy straconych! aj, aj! co pieniędzy straconych dla tych biednych ludzi!... Gdyby zaś były drogi, gdyby te piękne dęby przewieźć do Paryża, gdyby te woły, te krowy i barany pokazały się tam na targu... płaconożby je złotem! Nigdyż to, myślałem, nie będzie drogi, żeby stąd wywieźć te bogactwa? I otóż pan naczelnik przybywa do nas i spełnia to, o czem biedny Eliasz myślał przez lat pięćdziesiąt. I żony panów inżynierów przyjeżdżają też za mężami. To mnie rozczula... Trzebaby mieć twarde serce, żeby nie pośpieszyć co tchu na ich powitanie!

Tak mówił stary Żyd z udaną dobroduszością.

Wszyscy dziękowali mu całym sercem. Pan Anatol uściśnął mu rękę.

— Tak, mój panie — rzekł — jeżeli w każdym miejscu znaleźć można głupców i grubian, wszędzie też są ludzie rozumiejący rzeczy i nieobojętni na sprawę postępu. Siadaj-że pan koło mera i wychył kieliszek szampana razem z nami.

Eliasz nie mógł odmówić.

Uczta przeciągnęła się późno w noc. Śpiewano, tańcowano, słowem obchodzono wesolo rozpoczęcie drogi żelaznej. Około północy pan Cypryan, z lampą w rękę, odprowadził na dół z wielką ceremonią pana Zacharyusza Pipera i Eliasza Bluma.

Horacy rzekł do Eliasza przy pożegnaniu:

— Brakuje nam wszystkiego w tej oberży... potrzeba nam koniecznie człowieka zręcznego i znającego dobrze miejscowość, aby nas opatrzył w różne rzeczy... Bądź tu pan jutro, pomówimy obszernie o tem.

Elias, człowiek postępu, i mer Zacharyasz powrócili każdy do siebie, kołysani błogą nadzieją.

Wieś cała pogrążona była we śnie, wszystkie światła zagasły i „pod Łabędziem“ nastąpiła cisza po całodziennej wrzawie.

XI.

Wieść o przybyciu inżynierów do Felzenburga jak błyskawica rozbiegła się po górach. Przekupnie handlujący drobiem, bydłem i ogrodowiną, słudzy pocztowi i kontrabandziści, słowem ci wszyscy, którzy przebywali drogę z Houpe do Sawerny; z Härbergu do Phalzburga, rozsiewali nowinę po okolicy, przybierając ją po swojemu. Opowiadali, że liczne towarzystwo, złożone z wielkich panów i bogatych pań, strojnych w jedwab i złoto, zamieszkało w Felzenburgu w oberży Schwartza; że nowoprzybysze wyprawiali codzien świetne uczyty, nie odmawiając sobie niczego, co im przeszło przez głowę; że omijali kościół i nie chodzili wcale na nauki ojca Niklausa; że całą ich religią było jeść, pić, słowem pędzić życie przyjemnie i wesoło; że panowie w kaszkiecikach haftowanych srebrem chodzili co rano do lasu, prowadząc z sobą licznych robotników; tam zatykali drągi, przyglądali się przez szkło, kazali tu i owdzie wycinać zarośla i drzewa, i stuletnie dęby padały jak

trawa pod siekierą, a nikt nie wiedział, co z tego będzie. Zony tych panów, przybrane zawsze w bławat i klejnoty, śmiały się, tańcowały, paliły cygara i przejeżdżały się na osłach ojca Beneduma z niejakim panem Anatolem, który je zabawiał, gruchając jak gołąbek. Słudzy tymczasem pod przewodnictwem starego Eliasza, rozbiegali się na wszystkie targi Alzacyi i Lotaryngii, gdzie skupowali najrzadszą zwierzynę, najpiękniejsze ryby, owoce i przysmaki wszelkiego rodzaju. Przywożono z Renu żywe karpie w beczulkach, ze Strasburga pasztety z wątróbek gęsich i inne tym podobne rzeczy, a stary Eliasz kręcił się na swoim osle i sam doglądał kupna, wybierając, co było najlepszego. Rozpowiadano nakoniec, że na wielkich wozach sprowadzano z Phalzburga piękne sprzęty, połyskujące dziwnie na słońcu; że jakiś pan w okrągłym kapeluszu przyjechał umyślnie z Paryża i wybijał kobiercami pokoje w domu Schwartza, na ścianach zawieszał zwierciadła a w oknach jedwabne zasłony.

Takie to cuda rozpowiadano w okolicy — i wieści biegały od wsi do wsi — od miasta do miasta. O niczem innym nie mówiono tak po dworach, jak po chatach wieśniaczych, rozprawiady o tem i żniwiarki na polu, i piastunki w lesie, i dziewczęta przy kołowrotku. Głucha wieść krążyła nawet o jakichś olbrzymich pracach, o drodze żelaznej, która ma na wylot przebić górę, o wielkim moście, co ma połączyć Sawernę z Czarnym lasem. Mówiono, że każdy robotnik może zapracować na dzień cztery do pięciu franków.

Wszystko to radowało szczerze włościan, kobiety zaś, przeciwnie, przypominały sobie, że przed końcem świata antychryst przybędzie z pierścionkami złotymi,

kolczykami i szatami z jedwabiu, i mnóstwem podobnych mamidel, a lubo przejęte trwogą, niemniej jednak ciekawe były widzieć, co się też dzieje w Felzenburgu.

To też w następną niedzielę, pod pozorem nabożeństwa, ciągnęły ku wsi niezliczone tłumy mężczyzn, niewiast i dzieci, młodych i starych, w kapeluszach trójgraniastych, w koszulach i w szlafmycach, piechotą i wózkami. Rzekłbyś, iż ród ludzki zbiera się na dolinę Jozafatową.

Byli tam i starcy, którzy od piętnastu lat nie wyszli za próg domu swego, w perukach z harcapem, w krótkich spodniach i w papuzim fraku z wielkimi stalowymi guzami; były i stare matrony, z trzęsącą się głową, w bławatnych sukniach w wielkie kwiaty, zabytkach zeszłego jeszcze wieku. Były i drobne dziatki, trzymające się spódnic matczynych, i starsze pacholeta, przybrane w spencerki albo niebieskie bluzy.

Na widok owych tłumów, każdy musiał przyznać, że wiek nasz jest wiekiem światła i postępu.

Chmary ludu zalały Felzenburg; jedni umieścili się w oberżach i gospodach, drudzy musieli nocować pod gołem niebem.

Około południa lud, posiliwszy się i podchmieliwszy sobie nieco, otoczył wkoło oberżę „pod Łabędziem“, a widząc zasłony zapuszczone w oknach, począł krzyczeć na głos, że chce widzieć panów inżynierów i ich żony.

Zgiełk tak był wielki, że najstarsi wieśniacy złożyli na prędce naradę i wyprawili z pomiędzy siebie deputację dla uczczenia dobroczyńców kraju.

Wybrano więc Hansa Brennera, drwała, Karła Dannbacha, leśniczego, i kilku innych z pomiędzy wiej-

skiej starszyny. Wybrani urocząście weszli na piętro, podczas gdy lud wykrzykiwał na głos:

— Chcemy widzieć panów inżynierów, chcemy widzieć ich żony!

W tej chwili właśnie panowie i panie kończyli śniadanie w sali jadalnej.

Piękne paryżanki paliły papierosy, pan Anatol, przygrywając na fortepianie, śpiewał piosenkę z Cyrulika.

Serce poczciwych prostaczków biło gwałtownie na myśl, że mają stanąć wobec wielkich świata. Naradzali się po cichu, czy otworzyć drzwi, kiedy Schwartz, który wychodził właśnie z piwnicy z koszem butelek, spostrzegł ich czających się u progu.

— Czego chcecie? — zapytał.

Wieśniacy opowiedzieli rzecz całą.

— Dobrze, zaczekajcie chwilkę, ja wam wszystko ułatwię. Patrzcie na te butelki. Każda z nich kosztuje pół ósma franka. Eliasz sprowadził z Sawerny. To białe wino musuje tak, jak piwo, a skoro go panowie zakosztują, weselą się i śmieją ze wszystkiego. Zaczekajcie chwilkę w sieni, natychmiast przyjdę po was.

Wieśniacy usunęli się, a Schwartz spełnił, co przyrzekł.

Paryżanki rade były deputacyi, rozkazały czempredzej wprowadzić ją do sali.

Starzy górale weszli z uroczą powagą. Karł Dannbach przedstawił żądanie zgromadzonych wieśniaków; jedna z pań, Julietta, odpowiedziała z godnością:

— Skoro wasze wsie tak pragną nas widzieć, staniemy natychmiast na balkonie i każdy przypatrzy nam się dowoli.

Panowie inżynierowie nie odrzekli słowa, skinęli tylko głową na znak przyzwolenia; starzy górale odeszli i oznajmili radośnie dobrą wieść niecierpliwemu ludowi. Wysławiali przytem pod niebiosa piękność pań i uprzejmość panów inżynierów.

W kilka minut potem roztwarto wszystkie okna sali. Paryżanki ukazały się, głośnie okrzyki zagrzmiały po dolinie.

Rozpoczęto pochód. Na czele wystąpił Feifer z klarinetem, Weinland z ogromną trąbą i Tobiasz Diemer z rogami myśliwskim. Każda wieś przechodziła osobno pod oknami: lud podskakiwał w płasach, rzucał w górę kapelusze, czapki i szlafmyce, wykrzykując co siły:

— Niech żyje droga żelazna! niech żyją inżynierowie! niech żyją piękne panie!

Była to scena rozrzewniająca.

Dziewczęta wiejskie, przechodząc, rzucały gałązki brzeziny, młodzi górale z rudą kędzierzawą czupryną głośno wykrzykiwali, rzekłbyś, że to gromada głodnych wilków.

Było czego lękać się.

I pochód przeciągnął się do godziny piątej wieczorem. Wówczas panie, uszczęśliwione tem wszystkim, co zaszło, zasiadły do obiadu.

Niepodobna obliczyć, ile w tym dniu pamiętnym wyszło w Felzenburgu sera, kielbas, szynek, wina i piwa: zapewniano, że w gospodach przybysze z okolicy zostawili z górą sześćset franków. Była to wyborna gratka dla miejscowego ludu.

Tak to cywilizacja pojawiła się w górach Wogeskich.

XII.

Po tak świetnym tryumfie cywilizacyi w Felzenburgu drwale powrócili do lasu, kumoszki do kołowrotek, inżynierowie do pracy, i wszystko przybrało zwykłą postać.

Nic też dziwnego, że młode panie, przebiegłszy góry i zwiedziwszy miejscowe osobliwości: kaplicę w Dagsbergu, ruiny Nidecku i Baru, grootę w Walscheidzie, hutę szklaną w Walerysthâlu, nic dziwnego, powtarzam, że panie poczęły się nudzić i z tęsknotą myśleć o Paryżu.

— O! jakież tu życie jednostajne—mówiły, ziewając, — jak też dzisiaj czas zabijemy?

Posłyszał to Eliasza Blum, zadumał się i, powodowany zwykłą usłużnością, wymyślił w głowie nowy projekt.

— Moje panie — rzekł — nudno to patrzeć zawsze na lasy, potoki i ruiny... poziewacie też i wzdychacie do miasta, czemu ja się nie dziwię. Umysły delikatne muszą koniecznie lubić zmianę. Zawsze tylko góry i góry, to w końcu znuży oko. Otóż ja powiem paniom, że wam jeszcze nie wszystko pokazałem; że ten kraj ma osobliwość rzadką, słynną na całą okolicę, jedyną w swoim rodzaju; zachowałem to na ostatek.

Młode panie spojrzały ciekawie, Żyd mrugał oczyma i uśmiechał się tajemniczo.

— I cóż takiego? — spytała Julietta.

Eliasz odsunął firankę, ukazał palcem zwaliska Felzenburskiego zamku i szepnął cichym głosem:

— Patrzcie panie tam, na to gniazdo puszczyków, zarosłe jeżyną, zawałone gruzami: tam mieszka stara czarownica.

Poruszył ramionami i złożył obie ręce.

— Wiem ja — dodał — że panie, wychowane na wielkim świecie i uczone we wszystkich rzeczach, nie wierzą w czarownice... ale tutejszy lud w nie wierzy. Jest to więc stara kobieta, ale taka stara... taka stara... że ja, Eliasze, jestem przy niej tak, jakby dziesięcioletnie dziecko przy Matuzalu. Tej starej na imię Fuldrada; żyje z dwoma kozami, karmi się ich mlekiem i przepowiada przyszłość.

Paryżanki słuchały z nateżoną uwagą; Diana, Julietta i Malwina poglądały na siebie wzajemnie, Eliasze ciągnął dalej:

— Radzę paniom odwiedzić tę starą; ona panie z pewnością rozerwie. Powtarza zawsze jakieś dziwne słowa... mówi o dawnych czasach, o starych margrafach i landgrafach... W pamięci jej, niby w wielkiej księdze, pełno jest zapisanych dawnych wspomnień. Pewien jestem, że będą panie rade z wycieczki. Jutro więc, przed świtem, nim skwar pocźnie dopiekać, trzeba paniom wyruszyć w drogę. Ja sam przyprowadzę do drzwi domu okulbaczone osiołki, pan Anatol pojedzie z paniami. Trzeba się puścić pod górę, drożyną wśród zarośli; o siódmej staną panie na miejscu, a powtarzam jeszcze, że to prawdziwa osobliwość.

I Eliasze zacierał ręce z radością, a młode panie skłaniały pilnie ucho, ciesząc się naprzód, jak to w Paryżu przechwalać się będą, że widziały czarownicę z gór, prawdziwą czarownicę z siwymi kudłatym włosom, przepowiadającą przyszłość lepiej od wszystkich wrózek. Zamierzały też dowiedzieć się od niej dużo rzeczy.

Przez cały wieczór były zadumane, nie mówiły je-

dnak nie o przedsięwziętym zamiarze, aby nie mieć natrencyh świadków.

Nazajutrz bardzo rano, gdy inżynierowie udali się do lasu, pomiędzy godziną czwartą a piątą, Eliasze przeprowadził przed oberżę osiołki z okrągłą poduszką na siodle i deseczką pod nogi.

Stary Żyd zapukał lekko do drzwi: otworzono je zaraz, panie czekały już w podróżnych płaszczykach i okrągłych kapeluszach na głowie, pan Anatol miał na sobie kortowy paletot, w obawie rannej rosy, słowem wszyscy gotowi byli do drogi.

— No, chwała Bogu — rzekł Eliasze, że paniom przypadła do myśli ta wyprawa. Ranek piękny, wszystko poszło jak z płatka.

Młode panie wyszły przed sień i powiodły okiem wokół.

Czas był mglisty, jak zwykle w górach o tak rannej godzinie; szary obłok zasłaniał górę i okoliczne lasy; powietrze, przesycone wonią dębów, bluszczu i macierzanki, zrazu przenikało zimnym dreszczem, mimo to orzeźwiał w dziwny sposób.

Cała wieś jeszcze spała. Koguty tylko trzepotały skrzydłami.

Młode panie dosiadły osiołków przy pomocy Eliasza, nogi położyły na deseczkach. Pan Anatol umieścił się wygodnie na siodle. Eliasze skinął ręką na lewo.

— Jedźcie panie tędy — rzekł — o sto kroków zwróćcie na prawo, steczką wydeptaną przez zarośla. Niema się czego śpieszyć, będziecie na górze razem ze wschodem słońca.

Towarzystwo ruszyło w drogę.

Eliasz stał chwilę, a potem szepnął sam do siebie: „Szczęśliwej drogi!“, wszedł do sieni i przekręcił klucz na dwa spusty.

Mieszkał on „pod Łabędziem“ w malutkiej izdebce na poddaszu. Zajmował się wszystkim w oberży. Niektórzy dziwili się, że zaniedbuje własne interesa dla panów inżynierów, ale stary lis wiedział dobrze, co robi.

Z niesłychanym zajęciem śledził on linię drogi żelaznej, nakreśloną na wielkiej karcie Francyi.

Grono młodych pań zawróciło pod górę. Julietta jechała na czele, pan Anatol na końcu. Paryżanki, zwykle tak szczebiotliwe, milczały; słyhać tylko było odgłos kopyt po kamienistej drodze.

Dziwne myśli nawiedzają umysł w rannym pomroku. Czarne drzewo przy drodze, ptak spłoszony z pomiędzy wrzosów, trzepoczący skrzydłami, głos przepiórki w zbożu, wołanie kukulki w lesie — słowem, wszystko pobudza do marzenia i przejmuje pewną trwogą.

Paryżanki marzyły też i milczały, pan Anatol zároveň milczał. I wstępowali coraz wyżej a wyżej krętą drożyną. Brzask coraz bardziej rozwidniał niebo i oświecał przedmioty, a wieś w dolinie rozbudzała się ze snu. Koguty piał na wyścigi, psy szczekały, młoty były w kowadła, koła młynu poruszały z pluskiem wodę rzeczki.

I wszystkie te odgłosy niknęły coraz bardziej w oddaleniu, ucichły nareszcie, a zorza purpurowa zabłysła z poza wierzchołków jodeł. Mgła ustąpiła nagle. Młode panie podniosły oczy i ujrzały się u stóp olbrzymiego wału z powalonych złomów granitowych. Czarna baszta panowała nad stosem gruzów, zarosłych bluszczem i jeżyną.

Wszystkie wykrzyknęły z podziwienia.

— Jak się tam przedrzeć? — zagadnęła Julia.

Osiolki postępowały jednak naprzód i niebawem po lewej ręce ukazała się drożyna, wykuta brzegiem skały. O tysiąc stóp poniżej wybiegał z kuźni ojca Rocka czarny dym, pomieszany z płomieniem. Wszelkie ptaki z rozpostartymi skrzydłami krążyły nad przepaścią.

Pan Anatol zamknął oczy i milczał, Julietta, dla pokrycia trwogi, zanuciła piosenkę, Dyana poglądała spokojnie z góry.

W dziesięć minut stanęły na wierzchołku.

Młode kobiety zeskoczyły lekko z osłów i ciekawem okiem przyglądały się napół rozwalonym basztom, panującym nad całą okolicą.

Ciepły promień słońca ogrzał ziemię, chmury owadów ulatały w górę z pośród jeżyn.

Zapominając o głównym celu wycieczki, paryżanki rozbiegły się po górze, ukazywały sobie strome wierzchołki skał, sterczące w oddaleniu i ciemne lasy jodłowe, pokrywające boki gór, jakby czarną oponą. Okrzyk podziwu co chwila dobywał się z ich piersi.

Pan Anatol przywiązał osły do drzewa i połączył się z towarzystwem.

Nagle na załomie muru wesołe grono spostrzegło Fuldradę z dwoma kozami.

Stara, pochylona ponad strzelnicą, stała nieruchoma, wzrokiem osłupiałym śledząc jakiś daleki przedmiot.

Młode panie spojrzały w tymże kierunku i daleko za lasem dostrzegły długi przekop, a nad nim rząd białych punkcików, świecących, jak gwiazdy, na ciemnozielonem tle jodeł.

Była to linia drogi żelaznej, wytknięta pod lasem, i papierowe chorągiewki na długich żerdziach.

Fuldrada wlepiła w nie bystry wzrok, tymczasem dwie kozy z długą szyją skubały świeże odrostki bluszczu.

Paryżanki, ciekawe, przyglądały się starej. Nagle Fuldrada obróciła głowę, spostrzegła je, lecz nie okazała zdziwienia, przeciwnie, zwróciła na nie wzrok przenikliwy, szepeąc niezrozumiałe wyrazy.

Julietta, śmielsza od drugich, przystąpiła do niej najpierwsza.

— Przyszłyśmy tu — rzekła — moja dobra kobieto, ażebyś nam wywróżyła przyszłość.

Na te słowa zielone oczy Fuldrady zabłyśły dziwnym ogniem.

— Ja nie jestem dobra kobieta, jam jest Fuldrada z Obernay... córka margrafów z Obernay... A wy z jakiego rodu?

Julietta zarumieniła się po uszy, i nagle wesołość opuściła młode grono.

Wtedy Fuldrada zstąpiła wolnym krokiem ze stołu gruzów i zawróciła ku baszcie, paryżanki poszły za nią, mimo uwag pana Anatola.

— Zostańcie panie — mówił błagalnym głosem. — Ta stara ma wzrok taki przykry, a uśmiecha się tak szyderczo. Wróćmy lepiej do domu.

Ale paryżanki koniecznie chciały zbadać przyszłość.

W progu baszty Fuldrada usiadła na słońcu. Oblicze jej świeciło, jakby wewnętrznem rozpromienione blaskiem, wszystkie zmarszczki znikły w dziwny sposób.

Zasiadłszy skulona w progu, podniosła w górę suchą rękę.

— Napisano — rzekła z powagą: — „Nie będziesz

kusił Pana Boga Twego“. Dlaczegoż pytacie mnie o przyszłość waszą?

I spojrzała na nie wzrokiem litości.

— Jakaż przyszłość ptaka przelotnego, albo liścia niesionego wiatrem?

Słowa te nie zraziły młodych kobiet. Dyana, Julietta, Malwina, wyciągnęły razem białe ręce do wróżki. Fuldrada pochylila czoło, oczy jej zaszyły mgłą, i wyszeptala strasznym głosem:

— Chcecie tego, a więc dobrze.

I pochwyciła pierwszą lepszą rękę, była to ręka Dyany.

— Co chcesz wiedzieć? — zapytała żywo.

Dyana, blada jak śmierć i drżąca od stóp do głowy, zwróciła się do obecnych:

— Zostawcie mnie samą, błagam was.

Pan Anatol odprowadził na bok panie.

— Matko, — szepnęła Dyana — czy Horacy ożeni się ze mną?

Fuldrada gorzko się uśmiechnęła.

— On ci to przyrzekł?... szalona... szalona!... on ci to przyrzekł... a ty, czyś dotrzymała przyrzeczenia?... Widzę tam... tam... dwie siwe głowy... Starzy rodzice od trzech lat wyglądają listu od córki... od córki, którą wychowali z miłością... na którą pracowali w krwawym pocie czoła...

Dyana nie słuchała więcej. Uciekła, jakby rażona gromem, podczas gdy stara szepiała jeszcze prorocтва.

— Nie zważaj pani na słowa tej przekłetej czarownicy — rzekł Anatol, patrząc z boleścią na łzy młodej kobiety. — Niegodziwy Żyd zapłaci mi za to. Uciekajmy stąd czempredzej...

Ale paryżanki nie posłuchały rady.

— Malwina przystąpiła z kolei do starej i podała jej rękę.

— Powiedz mi przyszłość — rzekła gorączkowo — zapłacę ci sowicie.

— Twoja przyszłość — szepnęła stara. — ty mówisz o przyszłości!... Spójrzysz w dolinę, twoja przyszłość podobna do tych drzew wyrwanych z korzeniem, które niesie prąd rzeki. Widzimy je z rana... wieczorem znikają bez śladu!...

Malwina chciała odpowiedzieć, ale tchu zabrakło jej w piersi.

— Nie o przyszłości myśleć tobie — ciągnęła Fuldrada — lecz o chwili obecnej... Zostaje ci kilka dni do upamiętania... Obracasz je w płasy i biesiady... Idź precz... Śmierć stoi tuż przy tobie...

Tak mówiła stara. Malwina odskoczyła na wskroś przejęta trwogą. Wszystka krew ścięła się w jej żyłach.

Julietta zbliżyła się nakoniec. Na widok jej Fuldrada zadrżała. Rysy jej przybrały straszny wyraz, otworzyła przymglone oczy, chciała powstać, lecz zabrakło jej siły.

— Poznaję cię — wyszeptala głucho — tak jest... poznaję ciebie... Tyś podała jabłko pierwszemu ojcu naszemu... i zatruta różę Salomonowi... Tyś obcięła włosy Samsona... Tyś żądała od Heroda głowy Jana świętego! Ty jesteś i będziesz kłamstwem miłości, obłudy, poświęcenia, obłudą zmysłów, bo nie kochasz nikogo, oprócz siebie!...

Julietta uśmiechnęła się na te słowa.

— Nie kochasz nikogo oprócz siebie — powtórzy-

ła Fuldrada złamanym głosem; bądź więc szczęśliwa... Nic ci nie stawia tamy... Śpiewaj, żartuj, napawaj się pychą do syta. Obecność do ciebie należy.

Stara umilkła; Julietta odwróciła głowę i dumnie spojrzała na towarzyszki.

— I to potrwa dziesięć lat — zawołała Fuldrada — tak jest, dziesięć lat... a wtedy, moja piękna... przyjdą zmarszczki i zawody, i troski wszelkiego rodzaju... Wtedy rozsypie się w gruzy to ciało, z którego tak się pysznisz, i nie zdołasz temu zapobiedz... Będziesz walczyć... i opierać się... lecz to nic nie pomoże. A za dwadzieścia lat — patrz oto, jaką będziesz.

To rzekłszy, ze śmiechem szatańskim, podniosła czapczkę z włosienia i odkryła naga połyskująca czaszkę.

— Tak jest, będziesz taka... Ale kiedy Fuldrada przechodzi, niejeden powie: „Ta kobieta wiele cierpiała... wyplakała oczy“. Ty zaś postarzejiesz, jak biała szata, zbryzgana w kałuży.

Stara powstała jak wąż, zbudzony ze snu. Usta jej glucho syczały. Julietta cofnęła się przerażona.

— Milcz, niegodziwa — zawołała z gniewem. — Panie Anatolu, chodź, ukarż tę zuchwałą.

Anatol nie ruszył się z miejsca. Wówczas Fuldrada, porwana gwałtownym oburzeniem, przystąpiła do kobiet, zmierzyła je wzrokiem pogardy. Dwie kozy były przy niej.

— Precz stąd! — zawołał przerażony Anatol. — Zabraniam ci iść dalej.

Lecz stara szła naprzód, a młode kobiety drżały, jak liść, i, nie mając siły uciekać, wsparły się o ścianę muru.

Fuldrada, przystąpiwszy na dziesięć kroków do nich, stanęła wpośród wrzosów, podniosła w górę suchą rękę.

— Przeklinam was! — zawołała. — Przeklinam was i wszystkie wam podobne, was, które przynosicie tu zamęt, które zapomnieliście o ojcu, matce, o progach rodzinnego domu. Przeklinam was! Idźcie do miast waszych. Między nami niema nic wspólnego!... Gadziny żyją błotem, a ptaki niebieskie rosą kwiatów. Precz stąd, niech plagi egipskie towarzyszą wam, boście zgnilizną i kałem ziemi. Oto przepowiednia Fuldrady. Kryć wam się było, córy Babilonu. Chciałyście wiedzieć prawdę? powiedziałam ją!... Wyście hańbą, zakała rodu ludzkiego. Precz stąd, precz, nieszczęśliwe!

Stara mówiła tak prędko, że niepodobna było jej przerwać. Głos jej, zrazu cichy, stawał się coraz donośniejszym; popychana zapamiętałym gniewem, co chwila postępowała krok naprzód; dwie wielkie kozy, przyparte do jej boków, zdawały się ją podtrzymywać. Parzyżanki, przestraszone, uciekły, jakby pędzone wiatrem, i w mgnieniu oka dosiadły osłów. Pan Anatol pośpieszył za nimi.

Już osły zstępowały z góry na dolinę, a jeszcze ochrypli głos Fuldrady brzmiał głucho, jak złowrogi głos sowy, ukryty wpośród zwalisk. Okropne to było, zaprawdę.

Grono kobiet zstąpiło z góry ścieżką wijącą się brzegiem nad przepaścią. Pan Anatol drżał, na myśl, czy stara nie rzuci za nimi złomem skały, lecz bojaźń ta była daremną. Fuldrada, pochylona ponad szczeliną z piorunującym czołem i zaciśniętą pięścią, rzuciła im tylko przekleństwo.

Przybyli wreszcie do podnóża skał i niebawem wjechali do wsi.

Łatwo pojąć, jak młode panie powitały Eliasza, który podał myśl tej wycieczki.

Przez kilka dni Dyana była chora, Malwina dziwnie smutna, Julietta rada była podburzyć wieś całą przeciwko starej i wypłoszyć ją z pośród zwalisk, lecz wieśniacy bali się Fuldrady, jak ognia, zresztą stara mieszkała na gruncie Daniela Rocka, na którym nikt nie śmiał postawić stopy.

Panowie inżynierowie nie dowiedzieli się o tej dziwnej przygodzie. Żadna z kobiet nie wspomniała o tem, co zaszło, Anatol także milczał. Eliasza był w rozpacz, zwłaszcza, że obecność jego budziła odtąd niepojęty wstręt w pięknych paniach, nasuwając im przykre wspomnienia.

XIII.

Od pamiętnego posiedzenia rady municypalnej, na którym Daniel Rock oświadczył, iż nie pozwoli, aby czyjokolwiek noga postąpiła na jego ziemi, i że stanowczo opiera się budowie drogi żelaznej, jako przeciwnej odwiecznym tradycjom Felzenburga, od tego dnia stary kowal zamknął się w domu własnym i pracował w kuźni spokojnie.

Pleban Niklaus usiłował pogodzić go z przyjacielem Benedumem. Za pierwszym słowem Daniel przerwał mu stanowczo:

— Księżę plebanie — odrzekł — jeśli mi jegomość wspomni raz jeszcze o tem, nie będziemy się widzieć inaczej jak w kościele.

Ojciec Niklaus wyczytał wyraźnie w siwych oczach starca, w zagięciu wielkiego nosa i w suchym dźwięku jego głosu, że niema co już zaczynać z tej beczki.

Teresa okazywała zupełną uległość; lecz zbladłe jej lica wymownie świadczyły, jak trudno jej było przezwyciężyć głębokie uczucie. Kochała całym sercem Ludwika, wiedziała, że młodzian nie miesza się w spory dwóch rodzin, widywała codzień, jak przechodził pod jej okienkiem smutny, ponury, złamany zgryzotą; jakżeby pragnęła wtedy przybliżyć się do niego i powiedzieć: „ja cię kocham, Ludwiku“, lecz niemniej czuła w duszy, iż córka Daniela Rocka powinna znać tylko wolę ojca, i dość jej było na tem.

Krystyan i Kacper trzymali się też ojca, jakby dwa nieodstępne cienie. Cokolwiek wyrzekł stary Daniel — było w ich oczach sprawiedliwe i jasne, jak słońce. Stąd też w ich przekonaniu mer, radcy municypalni, inżynierowie, młode panie z Paryża, Żyd Elias, Benedum, Schwartz, słowem, wszyscy stronnicy nowości, warci byli stryczka i przedstawiali zepsucie wieku.

Zresztą, żyli w obrębie domowym, i nie objawiali uczuć swoich nazewnątr. Co wieczór czytali stare kroniki, głosem uroczystym, karmiąc się odwieczną tradycją.

W ową niedzielę, kiedy górale zeszli z gór do Felzenburga, aby uczcić tryumf cywilizacji, ojciec Daniel, przy czytaniu, rzucił kilka słusznych uwag co do użycia szabli, kazał nawet Krystyanowi przynieść

z szafy długą na sześć stóp szablicę, którą starannie chował, i, popierając przykładem teoryę, pokazał synom, jak władać nią należy.

— Patrzcie! — zawołał, chwytając oburącz szeroką głownię — jak Hugon Jednooki, co rozplątał łeb Rupertowi — patrzcie dobrze!

Miał powtórzyć próbę, kiedy ojciec Niklaus pojawił się w progu.

— Pokój temu domowi — rzekł stary pleban, na widok straszego oręża.

— Amen — odpowiedział ojciec Daniel, a po chwili milczenia dodał:

— Pokazywałem synom, jak pan nasz, Hugon, rozplątał głowę Rupertowi w r. 1405. Kacper, odnieś szablę na miejsce...

Proszę siadać, ojcze plebanie. Możesz czytać dalej, Tereso. Stanełiśmy właśnie w miejscu, kiedy Rupert upadł na ziemię, tarzając się we krwi własnej. Hugon przycisnął mu gardło stopą, a Rupert ugryzł go w wielki palec tak mocno, że mu pękły stalowe ciżmy. Znać, że nie były kute przez prapradziada mego, Odcarda Rocka, który żył podówczas, lecz przez płatnerza Szkota, któremu szło więcej o ozdobę, niż o rzeczywisty pożytek.

Teresa czytała jeszcze chwilę, ale za pierwszą przerwą pleban Niklaus, oburzony na młode paryżanki, nie mógł wytrzymać dłużej i jał rozpowiadać, co się stało. Opisywał tryumf inżynierów, szalony obłęd górali, zniewagę wyrządzoną odwiecznym obyczajom, zaniedbanie domu Bożego, rozpustę, zgorzenie, chciwość, bezczelność jednych, podłość drugich, słowem powódź obrzydliwości, zalewająca świat cały. Przez pół godziny wy-

powiadał z bólem wszystko, co mu ciążyło w sercu, umilkł nakoniec, zdumiony pozorną obojętnością słuchaczów.

Stary kowal, z rękoma założonemi na krzyż, dwaj synowie jego, wsparci łokciami o stół, słuchali zimno, nie potakując najmniejszym słowem i nie objawiając gniewu.

Zacny pleban, zrażony tem milczeniem, spoglądał na wszystkich po kolei.

— Czytaj dalej, Tereso — rzekł Daniel spokojnie. I Teresa czytała, posłuszna ojca woli.

Ojciec Niklaus mniemał odtąd, że sam jeden we wsi pozostał wierny odwiecznym obyczajom. I nie tak często, jak dawniej, odwiedzał rodzinę Daniela.

— Ci ludzie — mówił w duchu — wypełniają powinność, ale tylko sami dla siebie, nie troszcząc się o drugich. „Byleśmy byli bezpieczni w arce świętej — mówią oni — co nas obchodzi potop?“ Ale czekajmy Wielkiejnocy... niech tylko ukłękną u stóp konfesyonału, a zejdmę im z oczu zasłonę, dam im zaprawdę poznać, że Pan nie położy na szali zasług naszych sporu przeciw złemu, jeżeli zaniedbujemy działać czynnie na Jego chwałę. Dam im poznać, że, zapaliwszy kaganiec u pochodni Wiekuistej, grzeszą ci, którzy kryją światło pod korcem... że kaganiec ten powinien stać na świeczniku, aby wszyscy widzieli jasność. Niechaj tylko przyjdzie Wielkanoc, a zobaczymy wtedy“.

Tak rozumował poczciwy ksiądz Niklaus; lecz nie trzeba mu było czekać aż Wielkiejnocy. Rodzina Rocków nie należała do tych, które ukrywają światło pod korcem. Przeciwnie, pragnęli oni postawić je czempredziej na świeczniku.

Ojciec Daniel co wieczór, skończywszy pracę w kuźni, między siódną a ósmą, zapuszczał się na górę, między zwaliska zamku. Tam długo oparty stał o skały, niekiedy sam, niekiedy ze starą Fuldradą, i oboje śledzili bacznie postęp drogi żelaznej i kierunek zatkniętych tyczek z chorągiewkami.

Robotnicy i inżynierowie widywali codziennie przed zmrokiem ich postać, rysującą się na gorze, na purpurowem tle widnokregu.

Daniel stał zwykle nieruchomy, stara zaś rozprawiła żywo, poruszając rękoma; robotnicy lękali się, aby na nich nie rzuciła uroku.

Niebawem spostrzegł stary kowal, że droga żelazna poczęła zwracać się wyraźnie w stronę góry zamkowej; przez miesiąc jednak nie wspominał o tem synom.

Inżynierowie prowadzili dalej roboty, przez pola, przez lasy i łąki. Nakoniec rząd tyczek przebił już las bukowy i przybliżył się na dwa strzały do wrzosów.

Tego dnia ojciec Daniel zstąpił z placówki swojej około ósmej wieczorem. Spokojny był, jak zwykle. Zasiadłszy na ławie, rzekł do synów:

— Jutro, chłopcy, pójdziemy do spowiedzi, pojutrze rano, to jest w niedzielę, przystąpimy do stołu Pańskiego.

Obaj chłopcy skinęli głową.

Teresa wybiegła do kuchni i płakała.

W kilka minut potem nakryła stół, podała wieczerzę. Wszyscy posilili się, jak zazwyczaj.

— Nie będziemy dziś czytać — powiedział ojciec Da-

niel po wieczery. — Trzeba nam obliczyć się z sumieniem. Idźcie na górę, chłopcy.

Kacper i Krystyan odeszli.

Kiedy stary Rock został sam na sam z córką, widząc, że Teresa siedzi w wielkim krześle z głową pochyloną na rękę, i serdecznymi płacze łzami, przystąpił z cicha, popatrzył na nią w milczeniu i dwie łzy starca upadły na jej szyję.

Zerwała się tedy co żywo i rzuciła w objęcia ojca.

— Tyś mi zawsze była pociechą, Tereso — rzekł Daniel. — Błogosławię cię, moje dziecko.

I oboje rozeszli się cicho, aby nie przerywać rozmyślań Kacpra i Krystyana.

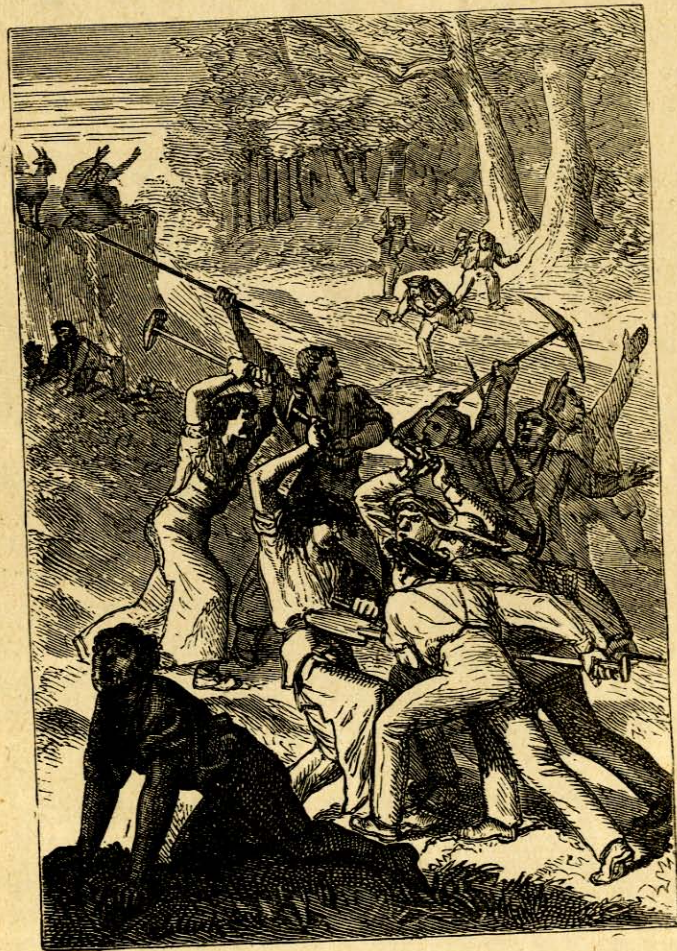
XIV.

Daniel Rock poszedł nazajutrz z synami do spowiedzi. W niedzielę przystąpili wszyscy razem do stołu Pańskiego.

Tegoż dnia ojciec Niklaus, odśpiewawszy nieszpory, wracał spokojnie na plebanie, kiedy w drodze spotkał ojca Beneduma.

Od czasu rozerwania małżeństwa Ludwika z Teresą stary młynarz stracił zwyczajną swobodę. Widywano go, jak chodził po wsi, z czołem zafrasowanym i głową pochyloną; pracował w młynie z nawyknięcia, nie go jednak rzeczywiście nie zajmowało.

W gruncie serca nie miał nienawiści ku towarzysowi lat młodych, który nie mógł pojąć, że ten bez osobistych powodów, skutkiem ogólnej sprawy, obcej



Bitwa.

interesom rodzinnym, zamknął progi domu swego, tak jemu jak i Ludwikowi. Taki postępek Daniela dotknął go do głębi duszy, tembardziej, że Ludwik chudł i zmizerniał widocznie, że przez całe godziny wyglądał dymnikiem z poddasza, skąd dostrzegał niekiedy Teresę, jak podlewała kwiatki, lub krzątała się koło gospodarstwa.

Pleban z podziwieniem uważał w niedzielę uroczystą postać młynarza.

— Dzień dobry, ojcze Frantz — zagadnął — cóż tam słyhać nowego? Widzę, że macie mi coś powiedzieć.

— Prawda, księżu plebanie, mam coś powiedzieć Jegomości.

Pocziwy ksiądz Niklaus domyślał się, o co rzecz idzie.

— Na Imię Boskie, ojcze Benedum, — zawołał — nie mówcie mi już o małżeństwie Ludwika z Teresą. Rzecz próżna. Nie uwierzycie, co biedy użyłem, aby was pojednać z Danielem. Stary o niczem słyseć nie chce. Zagroził mi, że gdybym mu jeszcze o tem wspomniał, nie widywałby mnie inaczej, jak w kościele. Mówiłem wam już: to nie człowiek, ale skała.

— Znam ja go — odrzekł smutno Benedum — wiem, żeście wszystko robili, aby nas pojednać, i dziękuję wam za to... Dziś przecież nie o to idzie... Jużemy się oboje z Katarzyną poddali Boskiej woli... Chłopak myśli tylko o o Teresie, nie ożeni się z drugą, wiem o tem... Zmizerniał do niepoznania, ale nie przebije głową muru.

— Tak, ojcze Benedum, trzeba się poddać woli Boskiej, — odrzekł z współczuciem dobry pleban — rzecz prosta, trzeba się poddać.

— Zapewne — odparł młynarz, idąc obok plebana z oczyma wlepionymi w ziemię, zapewne, ale to rzecz ciężka. Nie będziemy kołysać wnuków z Katarzyną, a my już oto przygotowali suknie na gody. Biedna Katarzyna! taka była szczęśliwa. Ona kocha Teresę, jakby rodzone dziecko... Wiadomo wam, księże plebanie, że, kiedy dziewczeczka Rocków przysłała na świat, Katarzyna karmiła jeszcze Ludwika, bywało też nieraz, że dawała piersi i maleńkiej. Nie kłamię, jak mi Bóg miły.

— Wierzę wam, ojcze Benedum.

— A potem, księże plebanie, kiedy dzieci podrosły trochę od ziemi, zawsze bawiły się z sobą. To mała przybiegała do młyna, to znów chłopiec biegł do kuchni... trudno ich było utrzymać. Serce mi się kraje, kiedy pomyślę o tem. Jakbyśmy byli szczęśliwi, gdyby nie to zajście! ale czyż mogłem pozwolić, aby Daniel uderzył mera? Powiedźcie sami, ojcze.

— Tak, tak, wiem o tem; od kwartału powtarzacie mi jedno i toż samo bezustannie.

— Darujcie mi, księże plebanie... Nudna to rzecz słuchać zawsze jednego, ale kiedy człowiekowi dolega coś tu — i położył rękę na piersi, a oczy zabiegły mu łzami — trudno milczeć. Otóż, jak mi Bóg miły, Daniel wszystkiemu winien... Na radzie odezwałem się w interesie dobra kraju... Każdy inaczej widzi rzeczy.

— Prawda, ojcze Benedum.

— A więc czegoż on chce ode mnie? Alboż ja mu wyrzucam, że inaczej myśli, niż ja? Zresztą przypuścimy, że się mylę, cóż biedny Ludwik temu winien? Cóż winna dziewczeczyna, którą my tak kochamy, i która kocha nas też nawzajem?

— Ależ, mój przyjacielu, choćbyście mi to powta-

rzali do końca świata, cóż ja wam na to poradzę? — zawołał poczciwy pleban, składając obie ręce. — Daniel nie chce słyseć o niczem.

Gdy to mówił, skrećili na małe podwórko plebani. Stara Anna, tylko co powróciwszy z niesporów, otwierała okna, aby odświeżyć powietrze.

Weszli obaj w milczeniu do sieni, a potem ksiądz oddał trójgraniasty kapelusz starej Annie, włożył na głowę czapkę aksamitną i zasiadł w krześle z poręczami.

Benedum stał jeszcze przy stole.

— Siadaj-że, mój kochany Frantz — rzekł pleban — i zamknij drzwi, kiedy masz pomówić ze mną sam na sam.

Młynarz przekreślił klucz w zamku, stara Anna odeszła do kuchni.

— Prawda, ojcze plebanie — zawołał Benedum — przepomniałem o tem. Przychodzę tu, aby uprzedzić wielkie nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?

— Tak, nie inaczej... pewien jestem... Daniel zamierza coś złego...

— W jaki sposób?

— Znam go już lat pięćdziesiąt: kiedy powie słowo, rzecz skończona!

— A cóż on takiego powiedział?

— Oto wyrzekł na radzie municypalnej, że niczyja noga nie postanie na jego ziemi, chciał, aby zapisać te słowa w protokóle... Gdybyście, ojcze, widzieli go wówczas, zrozumielibyście, co się święci.

Ksiądz Niklaus uśmiechnął się spokojnie na te słowa.

— Złakłem się w pierwszej chwili, — odrzekł — ale, ojcze Frantz, posuwacie rzeczy za daleko... Czyż godzi się przypuszczać z kilku słów na wiatr rzuconych, aby Daniel chciał stawiać zbrojny opór? Strach wasz nie oparty na niczem.

— Ojcze plebanie, znam ja Daniela, wiem, jak zacięty w gniewie... Co dnia oto... wchodzi na mury zamczyska i z jakie pół godziny przygląda się robocie. Śledzę go pilnie z mego młyna. Pojmujecie, ojcze... towarzysz lat dziecinnych... cokolwiekbądź zaszło między nami... trudnoż nakazać sercu... Patrzę nań tedy, jak idzie pomiędzy gruzy z rękoma w tył. Dosyć nań spojrzeć, zaprawdę, aby zgadnąć, co myśli...

Onegdaj, skoro ósma wybiła, zbiegł z góry wcześniej, niż zwykle; usta miał zaciśnięte... I dziś widzę, że tyczki inżynierów prawie już dochodzą po wrzosa, jutro wejdą na grunt Daniela. Wczoraj uważałem chmurę na jego czole, a dziś widziałem, iż przystępował do stołu Pańskiego.

— Posłuchajcie, mój Frantz — przerwał pleban — przesadzacie rzeczy zbyt mocno... Widuję często Rocków; są to ludzie spokojni, powiem nawet, że zanadto spokojni. Nic ich nie obchodzi... ani uczyty inżynierów, ani gorszący ich przykład, ani lekceważenie, jakie okazują dla religii świętej... mówiłem o tem w domu Daniela... Słuchali mnie wszyscy zimno i obojętnie... Ja sam dziwię się spokojności tego człowieka; przypisuję to chyba późnemu wiekowi. Starość wystudza w sercu szlachetne uczucia, uspokaja krew w żyłach... Bądźcie spokojni, ojcze Frantz, i nie sądźcie rzeczy tak gwałtownie.

— Księżę plebanie — odrzekł Benedum — powiedziałem, co myślę; wypełniłem powinność moją... Je-

śli jestem w błędzie, tem lepiej... Może być, że wiek ostudził krew Daniela, gdybym jednak był na miejscu inżynierów, nie ufałbym temu zbyt mocno. Zresztą, bądź co bądź, kocham i szanuję tego człowieka... pięćdziesięcioletnia przyjaźń nie zatrze się w dniu jednym.

To rzekłszy, młynarz powstał. Pleban odprowadził go do drzwi.

— Nie dziwnego — rzekł w duchu ksiądz Niklaus — ma nieborak zmartwienie, to też widzi wszystko ze złej strony.

A jednak, kiedy noc zapadła, pleban wyszedł ciachaczem z plebanii i udał się do domu Rocka. Wrota mocno były zaryglowane, przyłożył ucho do zamku; cisza w domu panowała głęboka, znać wszyscy twardo spali. Powrócił więc do siebie uspokojony, pewien, że się pomylił stary młynarz. „Kto przemyśla o zbrodni, temu sen nie postanie na oczach“ — tak mówił zacny pleban.

Każdy sądzi o drugich według siebie.

XV.

Prace inżynierów szybko się posuwały. Rząd ty-czek z chorągiewkami ciągnął się przez las i wielki parów, od Erschwiler do Felzenburga.

Gdyś sobie pomyślał: ileż to potrzeba będzie pracy, zanim stanie droga żelazna! tu wypadnie przerzucić most od jednej góry na drugą, tam wykuć otwór w skale, tam znów odwrócić koryto rzeki, wymurować podziemne sklepienia, zrównać pagórki, ubić groblę na trzy-

sta stóp wysoką; kiedyś marzył o tem, zdumiewając się nad zuchwałością ludzką — zapytywałeś wtedy sam siebie: Co też o nas pomyślą nasze dzieci?... Czemże zamki Nidecku i Haut-Baru, czem katedra strasburska, wobec tych olbrzymich przedsięwzięć? jakżeż ludy starożytnie mogą się równać z nami?

Każdy powtarzał w duchu te słowa, patrząc na tytaniczne pomysły, mało kto jednak wierzył, aby te pomysły mogły się stać rzeczywistością.

W dniu, kiedy tyczki inżynierów, zstępując z wyżyn Falzbergu, pojawiły się na dolinie, lud, zajęty w polu koło żniwa, przerywał co chwila pracę i ściagał okiem inżynierów pochylonych nad lunetami; przyglądał się robotnikom, jak mierzyli ziemię wyciągniętym łańcuchem, jak powalali z łoskotem stare drzewa, i poczciwy lud nie śmiał dowierzać własnym oczom.

Podróżni zatrzymywali się w drodze, idąc, lub poganiając konia, niejednen kiwał głową i myślał sobie w duchu:

— Zanim ta droga stanie, zedrę ja jeszcze niejedną parę butów.

Tak rozumowali wszyscy, z uwielbieniem jednak podziwiali śmiałość olbrzymiego przedsięwzięcia.

Wieczorem, w sobotę, pomiar doliny Felzenburskiej zupełnie był dokonany, została tylko góra, od której ciągnął się wąwóz Sawerny.

Inżynierowie, wraz z młodemi paniami, obchodzili niedzielę po swojemu, w poniedziałek o czwartej z rana, zabrawszy lunety i chorągiewki, wyruszyli w pole na robotę.

Tu nasuwa się mimowoli pytanie: dlaczego twórcy drogi żelaznej, zamiast jednać sobie szacunek lu-

du, tak porządnem życiem, jak wielkością przedsięwzięcia i niezmordowaną pracą, dlaczego, mówię, ci szlachetni synowie XIX-go wieku, których olbrzymie dzieła zdumiewać będą przyszłość, tak lekceważą poczciwy lud wiejski, przynosząc mu zgorszenie i okazując pogardę dla tego wszystkiego, co on przywykł tradycyjnie szanować?

Prawda-ż to, że moralność ludzi oświeconych różni się od moralności prostaczków? Godzi-ż się sądzić, że wysilenie inteligencji w celu wzniosłym i pożytecznym usprawiedliwia swawolę i nadużycia? Niechaj inni rozwiążą tę zagadkę, my wracamy do wątku powieści.

Cała wieś prawie wyległa, przyglądając się ciekawie, w którym miejscu przetnie górę droga żelazna.

Czas był prześliczny; od szóstej z rana słońce rozproszyło ciemny mrok ponad górą, ziemia parowała, rosa wznosiła się w obłoki; zielone liście jabłoni drżały, poruszane rannym powiewem.

Inżynierowie, w wysokich butach z surowej skóry, przechodzili tu i owdzie po bujnej i wyrosłej trawie. Co chwila wołali na robotników, którzy ciągnęli za sobą ciężki żelazny łańcuch:

— Na prawo!... na lewo... dobrze... stój!

Tłumy robotników pośpieszały w ich ślady, nieco opodal, na skraju lasu, wpośród sterczących pieńków i powalonych pni, drwale jedli śniadanie, siedząc wokoło polewanych misek. Lud wiejski z całej doliny przypatrywał się bacznie okiem, pasterze przybiegli z łąk i lasu, prowadząc z sobą kozy, kumoszki stały w progach domów, zapytując się wzajem:

— Czy też droga pójdzie przez gruzy, czy pod górą zamkowa?

Ojciec Benedum stał na mostku, udając, jakoby poruszał upust. Ludwik, oparty o drzwi młyna, błąd był i dziwnie pomieszany.

W chwili, kiedy pan Horacy dał znak robotnikom, aby przeciągnęli łańcuch przez zarośla, ukazał się na drodze od kuźni do zamku ojciec Rock z odwiniętymi rękawami od koszuli, w skórzanym fartuchu, z gołą głową, z młotem założonym za pas rzemienny.

Spojrzał... potem przystąpił wolno do robotnika, trzymającego łańcuch.

I niebawem dwaj synowie ukazali się opodal, ubrani tak samo, jak ojciec.

— Co tu robisz? — zagadnął stary kowal robotnika.

— Toż widzicie, ojcze Danielu, — odrzekł robotnik — zatykam palik w ziemi.

— Kto ci pozwolił deptać po cudzym gruncie? — spytał kowal z zaiskrzonym wzrokiem.

— Ależ bo, ojcze Danielu — rzekł robotnik nieśmiało.

Pan Horacy spoglądał z daleka na tę scenę, której znaczenia wcale nie rozumiał.

— No, dalejże — wołał — śpieszmy się.

Ale robotnik nie śpieszył się bynajmniej. Znał on dobrze starego Daniela.

— Odejdź stąd, Hansie — rzekł kowal. — Daję ci dobrą radę.

Pan Horacy, widząc, że robotnik stoi nieruchomy, przyskoczył do niego co żywo.

— Co się stało? — zapytał podniesionym głosem.

— To się stało — rzekł kowal — że nie pozwolę postąpić kroku dalej.

— Ty mi zakazujesz? ty? — zawołał inżynier.

— Tak jest, ja. Proszę odstąpić i to zaraz.

I lica starego kowala zadrżały... Pan Horacy, nieustraszony tem wcale, rozśmieł się na głos, pochwycił własną ręką za pal i wbił go w ziemię w oczach starca.

— Otóż i jest — zawołał.

Stary Daniel zakaszłał lekko, porwał młot i uderzył w głowę inżyniera z taką siłą, że krew buchnęła mu nosem i ustami. Pan Horacy upadł na ziemię.

Kowal założył spokojnie młot za pas, pochwycił pal okuty w żelazo, spojrzał prosto przed siebie.

Hans uciekał przez wrzosa, jakby koza przed wilkiem.

Inżynierowie i robotnicy zbliżali się, krzycząc.

Daniel Rock, sam jeden, z głową przechyloną w tył, ze zmarszczoną brwią, z długim garbatym nosem, z przymkniętymi oczyma i ściśniętymi ustami, czekał na nich, nie postępując naprzód ani kroku.

Postać starca była przerażająca.

Dwaj synowie przyskoczyli do ojca, każdy z podniesionym młotem w rękę.

— Nikczemnicy! zbrodniarze! — wołali inżynierowie, porywając za drągi.

Gdy wstąpili na wrzosa, Daniel zawołał grzmiącym głosem:

— Ani kroku dalej!

Posuwali się jednak, nie zważając na tę pogroźkę. Cypryan prowadził ich naprzód.

Daniel postąpił ku nim cztery kroki, jednym zamachem wytrącił pal z rąk Cypryana; inżynier uskokczył w tył z twarzą posiniałą i napół oderwanem uchem.

— Niegodziwy łotr! — wołał, wściekły od gniewu. Stary kowal nie odrzekł ani słowa. Synowie stanęli przy nim i rozpoczęła się krwawa bójka. Motyki, drągi, kielnie furkotały w powietrzu, ciosy jak grad spadały na głowy.

Cała wieś poglądała na to. Lud tłoczył się pod górę, przez płoty i ogrody.

— Ratuń, panie — wołano ze wszystkich stron — a toż się pomordują. Boże litościwy, jakaż to straszna bójka!

Siwa głowa starego Daniela górowała wciąż ponad tłumem, drąg jego świszcział przeraźliwie, starzec krzywił usta szyderczo.

Obaj synowie walili też drągami.

Robotnicy z boru śpieszyli co żywo, trzymając w ręku ogromne siekiery. Ranni na czworakach uciekali z tłoku. W górze zaś na złamie skały siedziała skulona Fuldrada i rzucała straszne przekleństwa. Uboczną steczka, wydeptaną wpośród wrzosów, biegł zadyszany Benedum z Ludwikiem i młynarczykami.

Stare kobiety we wsi podnosiły suche ręce, wzywając miłosierdzia Bożego.

— Święty Krzysztofie! święty Pankracy, ratujcie nas — wołały przerażone.

Bójka tymczasem trwała zacięta. Drągi i młoty waliły z coraz większym łoskotem.

Niepojęty zapal ogarnął starego Daniela. Odwieczne kroniki stanęły mu żywo w pamięci. Walczył, jak lew: rąbał, mordował, ścierał w proch wszystko, co napotkał, jak Hugon Jednooki w bitwie pod Mühlendorfem.

Wkrótce nawet, odebrawszy w głowę kilka pocisków

motyka, mniemał się być samym-że Hugonem Jednookim.

— Hrabio Falkenstein — zawołał — dokazujesz dziś cudów. Lampart drży! skórę jego oddamy św. Barbarze, patronce naszej. Hej-że na Tawardinów! na Brabantów! Do mnie! do mnie, synowie krzyżowców! Uderzmy! niechaj krucy szarpia ich ciała!

Wspomnienia ze starych kronik ożywiły też chłopców niepojętym zapalem. Obaj, zgrzytając zębami, rzucali się i rąbali jak wściekli; napróżno motyki i drągi spadały na nich gradem: nie czuli pocisków, rzekłbyś, że ukuci z żelaza.

Cypryan, wysoki, chudy, z gębą rozwartą od ucha do ucha, z posiniałą twarzą, w kapeluszu na bakier, usiłował przedrzeć się przez ciżbę, z ogromnym dragiem w ręku.

— Śpieszcie, śpieszcie! — wołał chrapliwym głosem na robotników, zdążających od lasu.

Ojciec Daniel spojrział na Cypryana, postąpił ku niemu dwa kroki.

— Ty umrzesz! — pomrukiwał — ty umrzesz! widziałem cię w wąwozie Elberschwiller... wiodłeś w góry nasze rabusiów lotaryńskich. Śmierć tobie! zamorduje cię po raz drugi!

Robotnicy z lasu nadbiegli. Ojciec Daniel, na widok ich siekier, które sam niedawno hartował, chwilowo powrócił do zmysłów.

— Krystyianie! Kacprze! — zawołał rozdzierającym głosem — za wiele ich tu... uciekajcie... zostawcie mnie samego.

I długa twarz starca rozpaczliwy przybrała wyraz.

Ale dwaj dzielni młodzieńcy, nie myśląc bynajmniej o ucieczce, poskoczyli naprzód i zaslonili ojca. Siekiery szczęknęły o dragi ich okute żelazem.

Wówczas to Jerzy z Chèvrehof ugodził w pierś Kacpra siekierą. Młodzian upadł na ziemię...

Ojciec Daniel ryknął, jak tur, Cypryan zadrżał od stóp do głowy. Poskoczył naprzód wśród podniesionych siekier, pochwycił Jerzego, powalił na ziemię i co sił deptał nogami. Siekiery, jak grad, spadały na głowę starca. Obrócił się jeszcze i wołał:

— Krystyanie, uciekaj, mój synu!

I w tej chwili upadł na kolano; zdruzgotał drąg o głowę innego robotnika... Zaśmiał się na głos przeraźliwym śmiechem i runął, jak dąb, pomiędzy wrzosy.

Nastąpiła chwila milczenia, a po niej groźny okrzyk.

Robotnicy, jak sfora ogarów, obskoczyli Krystyana, który sam jeden został przy ojcu.

Wtem nadbiegł zadyszany Ludwik i spostrzegł długie nogi Daniela pod stopami wściekłych zapasników. Ujrzał Kacpra, jak, powalony twarzą o ziemię, ścisnął za gardło dwóch rannych; ujrzał Krystyana, jak, klęcząc przy Danielu, wielkim młotem odpierał pociski, podczas gdy krew płynęła strugą z lewego ramienia młodziana.

Na ten widok, z głową pochyloną, rzucił się pomiędzy walczących.

— Nikczemni — krzyknął — stójcie!

Ojciec Benedum ukazał się za synem, porwał z ziemi drąg i zawołał:

— Nie dość-że wam jeszcze? Oto nas macie, gotowiśmy do bójki!

W tej-że chwili dwaj młynarczyki, przeskoczywszy płot, stanęli przy boku młynarza. Na widok niespodziewanych posiłków, robotnicy złożyli siekiery: dość już narabiali się nimi.

Straszny obraz przedstawiały zarośla. Krew płynęła po wrzosach. Ranni tarzali się po ziemi; jedni jęczeli przeraźliwie, drudzy milezeli glucho.

Ludwik ukląkł przy Danielu i zapłakał rzewnie.

Starzec napół otworzył siwe oczy. Spojrzał i łza spłynęła mu po licu. Ludwik ujął rękę Daniela — po chwili uczuł, jak dłoń sztywniała i krzępła: stary kowal stracił przytomność.

Cypryan tymczasem, obmywszy naderwane ucho w kałużę, posłał po doktora, pobiegł potem do Horacego, któremu krew buchała ciągle nosem i ustami.

Tak to ojciec Daniel zamienił w rzeczywistość groźbę, zapowiedzianą na radzie municypalnej.

XVI.

Mer Zacharyasz Piper golił się w oknie, kiedy strażnik leśny, Kacper Imant, otworzył z łoskotem drzwi pokoju.

— Panie merze! panie merze! — wołał zadyszany. — Chodź pan co żywo, mordują się na gwałt. Piętnastu padło trupem, a rannych nie policzyć!

Na ten krzyk pan Zacharyasz skamieniał ze strachu. Po chwili zagadnął, drząc jak liść.

— I któż się tak morduje? mów!

— Ojciec Daniel z synami wali na miazgę inżynierów, robotników, każdego, kto się nawinie. Śpiesz się pan, śpiesz, na Boga!

Mer zbladł, jak trup, brzytwa zadrżała mu w ręku, nogi zachwiały się pod nim.

— Prędko szarfe, podajcie mi szarfe! krawat biały! Krystyno... Krystyno... czy słyszysz? podaj szarfe.

Krystyna przybiegła przerażona. Mer opasał szarfe wokół bioder i biegł jak opętany, powtarzając niezrozumiałe słowa.

— Ha! potępięcy... rozbójnicy Rockowie! dam ja wam! istne gniazdo jastrzębi... powywieszać wszystkich... spalić żywcem... wszystkich bez miłosierdzia... Targnąć się na cywilizację... na dobroczyńców kraju... rabusie... lotry... hultaje!...

Tak wykrzykując, dobiegł do oberży „pod Łabędziem“. W tej-że chwili robotnicy przynieśli na noszach pana Horacego, a za nim kilku innych. Tłumy ludzi cisnęły się wokół rannych.

Niepodobna opisać krzyku i rozpaczyny młodych pań. Dyana, z rozpuszczonymi włosami, rzuciła się na nosze Horacego; Malwina okładała wodą z octem twarz Cypryana, Julietta wołała o pomstę, Anatol zemdłał, a stary Żyd Elias, żółty jak wosk, załamywał ręce, kiwał głową i wołał przez nos:

— Biedny panicz! biedny panicz! Elias Blum żałuje cię całym sercem. Nieszczęście, mój Boże, nieszczęście!

Śludzy popędzili konno do Sawerny po doktorów i po lekarstwa.

Jęki biednych matek, na widok pokrwawionych synów, rozdzierały serca obecnych: stare kobiety darły sobie garściami włosy z głowy... Nigdy we wsi nie widziano nic podobnego.

Mer Zacharyasz, na ten widok, przeklinał w pień Rocków, wykrzykując, co mu ślina do ust przyniosła.

W rzeczy samej Horacy ciężko był ranny, zaledwie, że dawał znak życia.

Cyrulik Freilig, który strzygł mu zwykle bujne czarne włosy, widząc porąbaną czaszkę, oświadczył, że wyłysieje z pewnością i zmuszony będzie nosić perukę.

Dyana, słysząc ten wyrok, upadła na ziemię zemdlona.

Cała wieś domagała się groźnie puszczenia z dymem gniazda drapieżnych Rocków: nikt jednak nie považył się pierwszy przystąpić do ich domu; wiedzieli wszyscy, że stary Benedum był tam z młynarczykami: pamiętano dobrze dawną przyjaźń Daniela z Frantzem i zaręczyny Ludwika z Teresą; nikt bowiem nie słyszał o rozerwaniu związków.

Widzieli wszyscy, jak młynarz z synem i młynarczykami podniósł z ziemi starego Daniela, Kacpra i Krystyana, jak ich położyli na nosze, zanieśli do domu i tam pozostali przy rannych.

Biedny oberżysta, Schwartz, latał jak oparzony. Żądano od niego dziesięć rzeczy naraz: bielizny, szarpi, octu... wody świeżej... Nieborak całkiem stracił głowę.

Coraz większe niebezpieczeństwo groziło Horacemu. Puls jego uderzał coraz słabiej.

Pojawili się wreszcie na drodze chirurgowie z Felzenburga, nadbiegający śpiesznym cwałem.

Tłum rozstał się; tysiące głosów wołało o ratunek. Chirurgowie zsiadli z koni przed oberżą, weszli do sali i na rozkaz ich pozamykano okna.

Rozpacz ogarnęła nieszczęśliwych, poczęli krzyczeć na głos:

— Toż oni tylko przybyli dla bogatych, a nie dla nas!

W tej-że chwili Benedum wyszedł z chaty kowala i przybiegł śpiesznie do drzwi oberży. Zamknięte były na klucz. Wstrząsnął niemi gwałtownie i już miał je wysadzić, kiedy ukazał się w progu mer Zacharyasz obok Schwartz'a.

— Czego chcecie? — zagadnęli żywo.

— Chcę, żeby doktor pośpieszył do przyjaciela mego, Daniela. Jest ich tu trzech... widziałem, jak zsiadali z koni... potrzebuję tylko jednego.

— Panie Benedum — rzekł mer zniżonym głosem, gdyż doktorzy naradzali się z sobą. — Strzeż się!... Twój pośpiech świadczy, że byłeś może ich współnikiem.

— Posłuchaj mnie, panie Zacharyaszu — przerwał młynarz — tyś sam sprowadził nieszczęście: tyś pierwszy głosował na drogę żelazną! I po cóż nam ta przekłeta droga? Czyż nam źle było bez niej?

— Nie o to idzie — zawołał mer — niech pomrą do licha rozbójnicy. To najlepsza rzecz, jaka ich spotkać może. Ty zaś miej się na baczności.

↳ Benedum wściekał się od gniewu; ale z głębi otwartej sieni spostrzegł z jakie dwadzieścia groźnych twarzy. Siła złego na jednego—nie podolać mu przeciw tyłu.

Odszedł z rozpaczą w duszy. Niepodobna mu było wybłagać pomocy dla Daniela!

Stary Rock leżał wyciągnięty na stole. Dwaj synowie leżeli na łóżku, jeden koło drugiego; żaden z nich nie poległ dzięki budowie atletycznej. Ojciec Daniel otworzył nawet jedno oko, drugie bowiem, ugodzone motyką, zbroczone było krwią... Poznał Teresę i usiłował uśmiechnąć się do niej.

Benedum wszedł do izby. Teresa, załamując ręce, z boleścią badała go spojrzeniem. Stary młynarz smutnie pochylił głowę.

Głęboka nastąpiła cisza. Odmówienie pomocy było wyrokiem śmierci. Od godziny Teresa daremnie usiłowała zatamować krew, ubiegającą z niezliczonych ran ojca. Strasznie wyglądał ten olbrzym: tak barczysty, tak groźny, z piersią obnażoną, pokrytą sińcami, z głową ciężko poranioną, z siwym pokrwawionym włosem i z krzepkimi lecz bezwładnymi rękoma. Duch nie uciekał jeszcze z piersi, lecz gdyby ratunek nie dopisał, gdyby krew ubiegała, śmierć nastąpiłaby niechybnie.

Bóg jednak zatwierdził w wyrokach swoich, że Daniel Rock nie umrze w tym dniu z synami: znać przeznaczał ich na nowe próby.

W chwili, kiedy wszystko zdawało się stracone, dał się słyszeć tentent kopyt końskich po bruku, i niebawem ujrzano przez okno człowieka trzydziestokilkoletniego, wysokiej i kościstej postawy, z czarną najeżoną brodą, z czołem zlanem kroplami potu, w szaraczkowym surducie, na koniu kasztanowatym, równie chudym i kościstym, jak i pan jego.

Szybko zeskoczył z konia; wbiegł do izby, wołając na głos:

— Bądźcie spokojni... to ja!...

— Doktor Marchal! — zawołał Benedum. — Chwała Ci, Boże, jesteście ocaleni!

Teresa, dotąd silna i odważna wobec boleści, Teresa, która nie straciła mocy duszy podczas zaciętej walki, posłyszawszy te słowa, zachwiała się i upadła bez zmysłów. Ludwik pochwycił ją w objęcia.

Doktor Marchal, szczerzy zwolennik drogi żelaznej, a obok tego zapamiętały miłośnik starych zwalisk, medalów, odwiecznych kronik i pergaminów, okazywał zawsze prawdziwy szacunek dla Daniela. Równa zamiłowanie w starożytnościach krajowych, równa cześć dla zabytków przeszłości, a przytem jedność plemienna, uderzająca na pierwszy rzut oka, wszystko to łączyło ich węzłem serdecznego współczucia.

Doktor, objeżdżając wsie po górach dla szczepienia ospy, skoro się tylko dowiedział o bójce, przybiegł cwałem, aby opatrzyć rany starego Daniela i jego dzielnych synów. Takimi to dowodami objawia się hart duszy i prawdziwe poświęcenie.

W ciągu dnia tego lekarze niemało mieli pracy w Felzenburgu: mnóstwo nastawili rąk i nóg uszkodzonych.

Przed wieczorem przybyli żandarmi. Udali się prosto do domu ojca Rocka, w towarzystwie mera i niezliczonej gawiedzi.

Był przy Danielu Frantz Benedum z synem Ludwikiem, był także pleban Niklaus, który przybiegł natychmiast, dowiedziawszy się o nieszczęściu. Teresa siedziała na ławeczce, nieruchoma i zapłakana,

w najciemniejszym kątku izby, młynarczyki krzatali się żwawo około chorych. Ojciec Daniel leżał jeszcze na stole, a w wielkim łóżku, w bliskości drzwi, leżał Krystyan i Kacper, obaj poobwijani szmatami, zarówno jak i ojciec.

W tej chwili chorzy czuli się lepiej. Wszyscy trzej odzyskali przytomność. Doktor Marchal zabierał się już do odjazdu, przyrzekając, że wróci na jutro rano, lecz na odgłos szczękających pałaszów i na huk sabatów po bruku, wrócił do izby i szepnął do ucha Teresie:

— Niema tu czasu do stracenia... Co przewidywałem, nastąpiło. Bądź spokojna, nie trwóż się, moje dziecko.

Przystąpił potem do ojca Daniela, spoczywającego na wielkim materacu.

— Biedny mój stary — rzekł — patrz, oto żandarmi.

— Słyszę ich — odrzekł Daniel z łagodnym uśmiechem — przyłapali nas, istnie jak króliki w jamie: niepodobna się bronić!

— To szczęście dla was — szepnął doktor — wiecie dobrze, Danielu, czem to pachnie.

— Tak, wiem... kiedy wilk stracił zęby, łatwo mu wtedy mówić o wstrzemięźliwości.

Domawiał właśnie tych słów, gdy brygadyer żandarmów, Werner, któremu Daniel nieraz podkuwał konia, i z którym niejedną wychylił kieliszek, wszedł smutny do izby, podnosząc w górę pałasz, aby nie robić hałasu.

— Przykro mi, ojcze Danielu, — powiedział — że

zmuszony jestem zabrać was stąd razem z synami do szpitala w Falzburgu.

— Dobrze, mój Wernerze — odparł Daniel — spełnijże twoją powinność.

— Tak, to powinność moja. Ależ co u licha, ojczyźnie Rock, wy, człowiek poważny i szanowany od wszystkich... słowo honoru, to mnie ciężko martwi... No! ależ co robić?... dobre i to, że ja was sam przeprowadzę.

— Rad jestem, mój Wernerze.

— W tym stanie — rzekł brygadyer — niema potrzeby okuwać was w kajdany.

W tej chwili stary kowal spostrzegł we drzwiach mera, który poglądał nań z uśmiechem zadowolenia. Na ten widok krew zakipiała mu w piersi.

— Czego tu chcesz, ty? — zawołał z zaiskrzonym wzrokiem.

— Bez tej poufałości — odrzekł mer — ja sam rozkazałem cię uprowadzić z tych miejsc, a to dla twego dobra, bo zniewaga, wyrządzona inżynierom, oburzyła wszystkich lud we wsi.

— Co on mówi? co on mówi? — przerwał kowal. — Precz stąd, krew burzy się we mnie, precz stąd!

— Uspokój się, Danielu — wyszepnął łagodnie ksiądz Niklaus — uspokój się, błagam cię o to.

Daniel zamknął oko i westchnął.

Wówczas dopiero Werner dostrzegł białą jak śnieg głowę dobrego plebana, przyłożył rękę do kapelusza i zagadnął półgłosem:

— Sługa pański, ojczyźnie plebanie... Smutny to wypadek.

— O! prawda, że smutny! panie brygadyerze! —

odrzekł zacny kapłan. Nastąpiła potem uroczysta chwila milczenia.

— I jakże zrobimy? — zagadnął wreszcie Werner do obecnych.

— Panie Werner — rzekł doktor — ci ranni nie mogą być przewiezieni w takim stanie... Ja za nich nie odpowiadam.

— Boleję na tem, panie doktorze, ale otrzymałem wyraźny rozkaz. Patrz pan...

— Dość na tem — odparł doktor — pragnąłem tylko zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Wyrzekłszy to, doktor szepnął kilka słów do ucha młynarzowi, który kazał śpiesznie chłopcom zaprządzić parę koni do wozu.

Teresa milczała bez przerwy.

Nadeszła noc, głęboka ciemność ogarnęła izbę, do której tłoczyło się mnóstwo ciekawych. Zegar pomału wybijał kwadranse. Wkrótce ciężki wóz zaturkotał po bruku.

Ludwik, nie mogąc się dłużej powstrzymać, wybuchnął cichym łkaniem, i w tej-że chwili przenikliwy okrzyk wyrwał się z piersi biednej Teresy.

— Ten krzyk na wskrós przeniknął obecnych zimnym dreszczem.

Daniel, który zdawał się uspiony, zawołał z cicha:

— Tereso, chodź tu, dziecię moje!

Dziewczyna przybiegła, upadła na kolana, zanosząc się od płaczu.

— Ojciec z trudnością obrócił głowę. Łza potoczyła się po bladej twarzy... Długo poglądał z miłością na córkę.

— Tereso, bądź spokojna, chcę tego, powinnaś mnie słuchać. Nie płacz tak, lży twoje ciężko ranią mi

serce. Ja odjadę... widzisz... wola drugich silniejsza od mojej. Ale błogosławie cię, moje dziecko... Błogosławieństwo ojca—rosa niebieska. Pocałuj mnie... tak... Tereso... biedne ty dziecię moje!

I łkanie ich pomieszało się razem. Wielu z obecnych uciekło, nie mogąc znieść tego widoku.

Pleban, podparty łokciem o komin, z siwą głową, pochyloną na dłoń, zanosił się od płaczu. Sam Werner odwrócił oczy i, krzepiąc w sobie odwagę, pokroczył żywo ku drzwiom.

— Precz stąd! — zawołał na zgromadzony lud — Hansie, rozegnaj co żywo hołotę.

Po chwili Daniel poruszył się znowu na pościeli.

— Tereso, — rzekł — podaj mi rękę. Ludwiku, chodź tu, mój synu.

Ludwik zbliżył się zapłakany.

— Podaj mi także rękę twoją.

Młodzian dopełnił woli starca.

— Danielu! Danielu! — zawołał Benedum. — Przebac mi, wiem, jak ciężko zawiniłem.

Daniel uśmiechnął się słodko.

— Łączę dziateczki nasze!.. Widzisz sam, żem wszystko zapomniał. Ludwiku... powierzam ci szczęście mojej drogiej Teresy: kochaj ją... szanuj... bądź dla niej ojcem... bratem... i mężem... Oprócz ciebie nie ma biedna nikogo... Przrzecz mi to, Ludwiku.

— O tak, przrzekam, ojeze!

— Dobrze, mój synu. Teraz, Wernerze, nie mamy czego czekać. Tereso, uściśnij jeszcze braci.

Podniesiono wtedy ojca Daniela, a jęk obecnych rozległ się o ściany domu.

Dwaj konni żandarmi trzymali w ręku zapalone lu-

czywo, noc bowiem była czarna. Doktor Marchal, pleban, młynarz z synem i młynarczykami wynieśli chorych na materacach i umieścili na drabiniastym wozie grubo wysłanym słomą.

Opodał odzywały się okrzyki tłumu.

Światło żywicznych drzazg oświetlało okropny obraz. Wóz stał przed domem, otoczony gronem żywczyliwych; tłum poglądał z daleka z urąganiem. Konie wspinały się, parskając niecierpliwie. Stary dom z otwartymi oknami przedstawiał obraz pustki. Ludwik unosił biedną Teresę, która nie okazywała najmniejszego znaku życia.

Wśród tego powszechnego zgielku, w chwili, gdy młynarczyk chwycił lejce i uniósł bicz do góry, powstała głośna wrzawa.

— Fuldrada! Fuldrada! — wołały liczne głosy.

Tłum rozstąpił się z przerażeniem.

Jakoż stara po raz pierwszy od lat dwudziestu zstąpiła ze swych zwalisk. Szła przez zarośla, steczka, prowadząca do kuźni. Wyciągnęła przed siebie suche ręce.

— Stójcie! — zawołała przeraźliwym głosem.

Wszyscy posłuszni byli jej woli.

Przystąpiła do wozu, dwie wielkie kozy były przy niej. Widząc ją, Daniel zadrżał: oko starca zabłysło radością.

Werner ujął w rękę zapalone luczywo i pochylił się na koniu, aby dosłyszeć, co powie czarownica.

— Tak, Fuldrado — rzekł kowal, popatrzwszy na nią chwilę. — Odjeżdżamy, jak widzisz!

— Tak, odjeżdżacie... — odrzekła stara — ale będziecie tu jeszcze z powrotem.

Nastąpiło gluhe milczenie.

— Czy wszyscy trzej wrócimy?

— Wszyscy trzej.

— A kiedy?

— Upłynie trochę czasu, ale nie wszystko skończone... Tam, na górze, oczekują was starzy!... zachowam dla was miejsce u ich boku.

Ponury zapal rozjaśnił oblicze starca.

— Co mówisz? Ja i synowie moi! zajmujemy miejsce obok Hugona Jednookiego, Luitpranda, Bartolda? Nie! to być nie może.

— Tak będzie! położycie się przy ich boku... będzie szlachetni!... Ja, Fuldrada, ostatnia z margrafów Obernay, oznajmiam to wam... Widziałam Hugona, jak podniósł wielką szablę podczas walki, jak was trzech pasował na rycerzy.

— Widziałeś to, Fuldrado?

— Widziałam, i dlatego zesłałam tu z góry... Chciałam wam to oznajmić... Wasze miejsce tam — i ukazała górę. — A teraz jedźcie, oczekuję was!...

Daniel Rock tak był wzruszony, że nie zdołał odpowiedzieć słowa.

— Ta stara ma obłąkanie — pomyślał brygadyer. Fuldrada odeszła pomału.

— W drogę! — zawołał Werner.

Wóz zaturkotał po bruku. Wieśniacy, kobiety, dzieci, tłoczyli się z krzykiem, urągając nieszczęśliwym i rzucając przekleństwa.

— Precz stąd! — zawołał brygadyer i podniósł w górę pałasz.

Wóz potoczył się ciężko po kamieniach, przechylając się z boku na bok, konie parskaly na głos.

Fuldrada stała w rogu opuszczonego domu i spokojnym okiem powiodła za odjeżdżającymi.

— Czekam was! — zawołała powtórnie.

Głos jej, przenikliwy, jakby krakanie orla, rozległ się wśród tłumu. Stary kowal wyciągnął ku niej rękę.

Tłum pośpieszył za wozem. Blask łuczywa jasno odbijał się w szybach chat wieśniaczych.

Uciehła wrzawa, umilkł turkot... głucho milczenie nastąpiło we wsi... Fuldrada, powtarzając niezrozumiałe słowa, powróciła steczką do zwałisk.

Nim doszła na wierzchołek góry, kilkakrotnie obróciła głowę i przyglądała się pochodniom, które polyskiwały w lesie przez zielone gałęzie buków.

Wokoło niej była rozpostarta ciemna pomroka nocy. Kozy stapały ostrożnie, jakby niepewne drogi.

Północ była, gdy Fuldrada weszła do baszty swojej. Daniel Rock z synami w tymże czasie przybył w mury Falzburga.

XVII.

Wbrew wszelkim przewidywaniom lekarzy, pan Horacy przyszedł wkrótce do zdrowia. Wiele krwi upłynęło mu nosem. Ta okoliczność ocaliła mu życie.

W trzy tygodnie po wypadku widziano go, jak, oparty na kiju, przechadzał się po wsi, poglądając na góry przygastem nieco okiem, lecz pełen rzeczywistego zadowolenia.

Co do pana Cypryana, twarz jego, przeszedłszy ko-

lejno przez wszystkie barwy tęczy, wróciła nakoniec do zwyczajnego stanu, brakło mu tylko małej cząsteczki ucha.

Młode paryżanki, zrażone pobytem w tak niebezpiecznym miejscu, rozwinęły motyle skrzydła i uleciały do Badenu.

Prace inżynierów postępowały śpiesznie. Pan Horacy objął znów naczelnictwo.

Ten człowiek małego wzrostu, obdarzony równą energią, jak ojciec Daniel, nie dał się nikomu wyprzedzić w niez mordowanej pracy.

W końcu września rozpoczęły się wywłaszczenia: przekonano się wówczas, że Eliasza Blum pomnożył w trójnasób swój majątek. Stary lis odprzedał na wagę złota, nietylko łakę nabytą od ojca Beneduma, ale długi pas ziemi, zakupiony wcześniej od różnych właścicieli ponad Sawerną.

Wielkie było zdziwienie wszystkich, gdy się wieść rozeszła, że Eliasza został milionerem. Z poszanowaniem pogładano na niego, kiedy przyjeżdżał na małym osiołku; zdejmowano przed nim kapelusze, zwano go panem Eliaszem. On jednak, prosty i skromny, jak dawniej odziany w brudny chałat, uśmiechał się filuternie do wszystkich. Często pan Zacharyasz Piper w białym krawacie oddawał mu pokłon aż do ziemi. Eliasza na to mrugał okiem i odzywał się przez nos:

— He, he! pokorny sługa pana mera! Mówilem wczoraj o panu z podprefektem.

— Ach, panie Eliaszu! jakżem wdzięczny!

— Tak, rachuj pan na moją protekcję.

Mało brakło, aby nie podał merowi ręki do pocałowania.

Tak to obracają się rzeczy na świecie.

Gdy rozpoczęto budowę drogi żelaznej, Eliasza podejmował się wszelkich dostaw. Niepodobna było z nim walczyć. Znał się na każdej rzeczy, obliczył wszystko naprzód, śmiało rzucał się na trudne spekulacje i nigdy nie doznał zawodu. Inni dostawcy oburzali się na to, ale nie było rady: nikt nie dorównał sprytem Eliaszowi. Ten spryt, plemienna cecha jego rodu, przypadł mu puścizną po naddziadach.

Z początku zawodu swego Eliasza z ubogim kraikiem wędrował od wsi do wsi, sprzedawał mydełka, szpilki i inne drobiazgi tego rodzaju. Później włożył za rogi starą krowę do miasta, potem założył w Sawernie handelek. Nakoniec stał się milionowym panem, budował drogi żelazne, zakładał ogromne fabryki.

Eliasza Blum miał geniusz handlu i przemysłu, dlatego, czegokolwiek się dotknął, wszystko w jego ręku przemieniło się w złoto.

Wogezę w nową całkiem przyoblekły się postać. Niedawno jeszcze, wśród gluchej i samotnej ciszy, napotkałeś tu ledwie pastuszkę lub gajowego w lesie, tu i owdzie dostrzegłeś kilka nędznych chat przylepionych do skały, czasem uboga dzwoniczka kościoła wychyliła się z pomiędzy ciemnych jodeł. Słyszałeś tylko świst drozdów, huk siekiery, jednostajny łoskot tartaków, lub szum wody spadającej z góry po skałach. Kto pamięta jeszcze te gluche pustkowia, te ciemne lasy, owych starców w lachmanach, kobiety i dzieci boso, z twarzą ogorzałą, z roztarganym włosem, jak zdumione wybiegały naprzeciw podróżnego — tego plebana w łataniej sutannie, jak z brewiarzem pod pachą przedzierał się przez góry i wąwozy — tego

nauczyciela, jak, stojąc w oknie pustej szkolki, napró-
żno wyglądał uczniów: kto widział to wszystko, a nie
zna starych kronik, aby wspomnieniem dawnych za-
paśników i łowców zaludnić owe pustkowia, ten za-
prawdę nie podzieli zdania ojca Rocka i błogosławić
będzie drodze żelaznej, która wniosła przemysł, pracę
i dobrobyt w te dzikie dotąd góry.

Fiękny to był zaprawdę widok, kiedy ze wszystkich
stron Francji, a nawet z poza Renu, zbiegały tu niezli-
czone tłumy robotników dla wykonania wielkiego dzie-
ła. Pracowity lud, jakby olbrzymie mrowisko, pokrywał
szczyty gór — i rozbiegał się na doliny. Wkoło budowano
szalasy, palono ogniska pod gołym niebem.

Trzeba było widzieć tych krzepkich robotników,
ciszących się z Armenii, Belgii i Sabaudyi, z bujnym
zarostem, srebrnymi kolczykami w uszach, z wielką ży-
lastą ręką, z białymi zębami, jak jedli i pili za czte-
rech, a pracowali za dziesięciu.

Trzeba ich było widzieć, gdy, zawieszeni na słabej
deszczulce nad przepaścią, rąbali skały, jak ma-
czugą lub młotem rozbijali twarde, jaki tylko może
być granit. Żarłoczne kruki nie pastwią się nad tru-
pem tak zawzięcie. To też złomy skał toczyły się
z loskotem, zawałając potoki i topieliska, a dzielni ci
pracownicy nie spojrzeli nawet z dumą na dokonane
dzieło, lecz szli zawsze naprzód i naprzód.

Trzeba ich było widzieć, jak jeden za drugim cią-
gnęli ogromne taczki naładowane ziemią, jak równali
góry i doliny, odwracali prądy rzek i potoków, jak
wkopywali się w ziemię jak krety w ciemności —
olbrzymie murowali sklepienia; jak wysadzali pro-
chem skały, jak potężne łuki wznosili nad prze-

paścią. Trzeba słyszeć ten huk walących się kamie-
ni — te echa gór, wtórujące ich trudowi. O! było to
wielkie i wspaniałe!

Felzenburg w ciągu miesiąca zamienił się w ogrom-
ną gospodę, miejsce noclegu dla niezliczonych ro-
botników. Lud wiejski znajdował godziwy zarobek: pie-
karz, rzeźnik, stolarz, słowem każdy, kto żył, brał
czynny udział we wspólnej pracy.

— Aj! aj! — mówił nieraz ojciec Benedum — ileż-
by to roboty miał pocziwy mój... człowiek tak bie-
gły w swem rzemiośle!... tak pilny i pracowity... i sy-
nowie jego, tak dzielni robotnicy!... Byłby hartował
po jakie sto motyk na dzień... oj, byłby kuł i kuł,
coby tylko podolał... nieszczęście! oj, nieszczęście!

Tymczasem Daniel z synami, wyleczony z ran, prze-
wieziony został do Nancy. Wkrótce wszyscy trzej mieli
stanać przed sądem.

Niegdyś podobny wypadek byłby poruszył całą
góre; kumoszki, zamiatając z rana podwórko, byłyby
rozprawiały o tem przynajmniej z jakie pół roku,
lecz w obecnych okolicznościach, wszyscy zajęci so-
bą, niewiele myśleli o drugich. Gdyby nie to, że
ksiądz Niklaus i Frantz Benedum powołani zostali na
świadców, wieś nie byłaby może wiedziała, że sądzono
sprawę Daniela.

Otóż opowiemy tu, jak się rzeczy odbyły, według
wieści, przywiezionych przez plebana i ojca Bene-
duma.

Ponieważ wielu robotników odebrało tak ciężkie rany
z rąk starego kowala, że z tych dwóch umarło, a kil-
ku zostało kalekami na całe życie, ponieważ naczeln-
ny inżynier o mało że nie padł trupem na miejscu,

że świadkowie zgodzili się wszyscy, jako stary kowal wszczął bójkę — wypadło wnosić, że niebawem zetną mu głowę na placu felzenburskim.

Ale w tych czasach żył w Paryżu sławny adwokat, który wyznawał szczególną cześć dla króla Chilperika. Ilekroć zdarzyła się sposobność, że mógł wtrącić słowo o swoim bohaterze, powstawał i świetną wymową łzy wyciskał słuchaczom. Prawda, że zaraz potem wszyscy dziwili się sami sobie, że płakali nad królem, który nie dokonał nic pamiętnego w świecie, o którym niejedyn nigdy może nie słyszał: dość, że wszyscy płakali, poruszeni sztuką sławnego krasomówcy.

I otóż ten sławny adwokat, wyczytawszy w „Gazecie Nancejskiej“ o tem, co zaszło w Felzenburgu, zdziwił się mocno, widząc, że byli jeszcze na świecie ludzie, gotowi nadstawić głowy za cześć i chwałę Hugona Jednookiego. Znalazł zatem powinowactwo między uczuciami swemi a ojca Rocka.

Rad był przytem, że miał sposobność rzucenia kilku słów o Chilperiku. Koniec końcem, wyruszył w drogę, zamierzając bronić Daniela i jego synów.

Łatwo bardzo skłonił adwokat starego kowala do powierzenia mu swojej sprawy; tembardziej, że ojciec Niklaus podnosił geniusz jego pod obłoki i zarzekał się przed Danielem, iż on zdoła go obronić.

Całe miasto Nancy obecnie było przy wprowadzeniu sprawy. Wielki orator przemawiał tak świetnie, że rozczulił do łez samych sędziów.

Ojciec Daniel słuchał go obojętnie, gdyż powtórzył kilkakrotnie imię Chilperika, a nie wspomniał ani razu o Hugonie Jednookim.

Dzięki jednakże świetnemu adwokatowi, stary kowal, zamiast iść na rusztowanie z synami, co byłoby niewątpliwie nastąpiło, gdyby nie znakomita obrona, skazany został na pięcioletnie więzienie.

Wielki mówca odmówił przyjęcia wynagrodzenia za swe trudy i wrócił niebawem do Paryża.

Pleban Niklaus płakał rzewnymi łzami podczas mowy; pocziwy Benedum nie mógł się uspokoić, że Daniel nie wróci tak prędko. Słyszając świetnego mówcę, pochlebiał sobie, że zostaną wszyscy natychmiast uwolnieni, i że stary Daniel pobłogosławi sam do ślubu Teresę i Ludwika.

Przed odjazdem z Nancy, młynarz wyrobił sobie, że mu pozwolono odwiedzić starego towarzysza lat młodych.

Rzewne było powitanie dwóch starców. Benedum płakał gorzkimi łzami.

— Nie troszcz się, mój Frantz — rzekł Daniel — wszystko to fraszka: za pięć lat będziemy z powrotem w Felzenburgu. Będę miał wówczas lat ośmdziesiąt. Toć mnie wiek nie pochylił ku ziemi, i ręce z sił jeszcze nie opadną. Tymczasem niech się pobiorą nasze dziatki. Ojciec Niklaus powie Teresie moją wolę... Odprawcie gody między swemi, niech się wszystko odbędzie wesolo. A pamiętajcie też wypić szklaneczkę starego kirszu za moje zdrowie, drugą za zdrowie Krystyana, trzecią za zdrowie Kacpra. Wiedźcie o tem, że rad jestem ze wszystkiego, com uczynił, zem spokojny w duszy i gotówbym powtórzyć jeszcze to samo. No, uściskajmy się... do widzenia...

Tak mówił stary kowal spokojnie i poprostu. Le-we oko wypłynęło mu, lecz to nie odbierało uroku ca-

lej postawie starca. Prawe oko za to polyskiwało ogniem, jak karbunkuł; policzek, przecięty głęboką szramą, drgał kiedy niekiedy.

Wszystko spełniło się według jego woli. Ludwik poślubił Teresę, a lubo chwile, co w więzieniu wloką się zwykle bardzo wolno, lubo każda sekunda starczy tam za godzinę, pięć lat upłynęło nakoniec.

Wyobraźmy sobie, jak w pierwszym dniu szóstego roku mocno uderzyły serca wszystkich w domu poczciwego młynarza.

Teresa miała ślicznego chłopczyka, którego karmiła jeszcze własną piersią. Z jaką radością pragnęła pokazać go ukochanemu ojcu. Oczekiwano go co chwila: co kto drzwi otworzył, każdy zwracał oczy, pewien, że Daniel ukaże się w progu izby. On jednak inaczej postanowił.

Okolo szóstej wieczorem leśniczy z Chèvrehof, stary Nickel Sperver, wbiegł żywo do chaty młynarza.

— Ojciec Daniel z synami — zawołał — jest w zwaliskach zamku; nie chciał ukazywać się we wsi. Spotkałem go na drodze z Behrethälu. Polecił mi, żebym wam to oznajmił. Idźcie więc do starej baszty, tam oczekują wszyscy na was.

XVIII.

Ojciec Daniel z synami wyszedł z więzienia w wigilię dnia tego, wieczorem. Przez noc i dzień następny uszli okolo dwunastu mil piechotą. Stary kowal, mimo ośmdziesięciu lat, nie upadł na siłach w ciągu pię-

cioletniego więzienia. Zachował on jeszcze dawną krzepkość, tylko siwa głowa starca pobieliała jak śnieg, a twarz długa i chuda licznymi pokryła się zmarszczkami.

— Miło to jednak — mówił z uśmiechem — popatrzeć słońcu w oczy i odetchnąć wonią jodłowych lasów!

Obaj synowie wcale się nie zmienili: cokolwiek bądź wyrzekł ojciec, potakiwali mu całym sercem.

Na widok gór, wszyscy trzej zatrzymali się nieco. Ileż myśli toczyło się w ich dusze. Kacper pobrał na licu.

Trochę dalej Krystyan zszedł z drogi na bok do lasu i ułamał gałązkę jedliny. Ojciec Daniel odczepił z niej kilka igielek, starł je w rękę i odetchnął rzeźwiącą ich wonią.

Potem wszyscy trzej, mileząc, skęcili manowcem do Waldecku, aby ominąć drogę żelazną, która od dawna kłuła ich w oczy szerokimi sztabami.

Roboty już były wykończone: dość było przyczepić lokomotywy do wagonów, aby pomknąć lotem błyskawicy do Nancy i Strasburga.

Dzień był prześliczny. O czwartej po południu Daniel Rock z synami stanął na wyżynie, panującej nad Felzenburgiem.

Oczy ich zwróciły się chciwie na kuźnię, na domy, na tunel, na dworzec drogi żelaznej, zbudowany z ciosowego kamienia, na pochyłości góry.

Jakże się tu wszystko zmieniło! Zamiast nędznych chat drewnianych, pokrytych słomianą strzechą, rozrzuconych tu i owdzie, wznosiły się ładne dworki z różowego kamienia, pokryte ceglana dachówka, wycią-

gnięte w półkole u podnóża góry zamkowej. Między dwoma rzędami tych domów szła wązka brukowana ulica. Okna, złożone z wielkich szyb, pięknie polyskiwały na słońcu. Ogrody, opasane żywopłotami, otaczały wokół wieś, niby zielony wianek. Niewiasty wiejskie i dziewczęta przybrane były w suknie lekkie, nowego kroju. Słowem, wszystko świeżą przybrało postać. Nawet odwieczna studnia w pośrodku wsi, otoczona niegdyś cuchnącemi kałużami, ocembrowana zgniłą, zmurszałą dębina, znikła, a miejsce jej zastąpił wodotrysk, spadający w sadzawkę, wyłożoną kamieniami, w której pojono bydło wiejskie; kościół nawet odmurowany był na nowo, a dom mera pokryty dachówką.

Wpośród tego wszystkiego smutno wyglądał ubogi dworek ojca Rocka, z zamkniętymi okiennicami, smutniej jeszcze nawpół rozwalona kuźnia — niegdyś były to jednak najzdobniejsze budynki w Felzenburgu.

Fowyżej wsi, na pochyłości góry widać było linię drogi żelaznej, wyciągniętą w półkole, dalej przecinającą skały, dalej jeszcze wiszący most ponad przepaścią. Widnokrąg kończył las bukowy, sięgający czołem w obłoki. Taki widok uderzył oczy Daniela i młodych jego synów. Poglądali nań z podziwieniem, umieli bowiem ocenić wielkość i trudność podobnego przedsięwzięcia.

Chwilę stali, patrząc w milczeniu.

— Piękna robota — rzekł nakoniec Daniel. — Nie mogę temu zaprzeczyć.

Ale nie traćmy próżno czasu. No, chłopacy, ruszajmy dalej!



Eliasz przyjeżdżał na osiolku.

Widzicie sami, że ta droga żelazna zajmuje trzy części naszej łąki w dolinie i przechodzi przez naszą górę. Rozbójnicy tylko mogą targnąć się gwałtem na cudzą własność.

— Frawda, ojcze — przywodził Kacper.

— Tak — dodał Krystyan — to istni rozbójnicy!

— Dalej-że w drogę! — rzekł Daniel. — Radbym czempredzej uścisnąć Teresę i Ludwika... ale moja stopa nie postanie już nigdy w tem gnieździe rabusiów i złodziei!

Dość powiedzieć, że nikt się nie znalazł na radzie municypalnej, ktoby stanął w obronie naszej własności! Sprzedano ją nawet, a pieniędzmi ze sprzedaży zapłacono tych rozbójników, którzy nas zaczepili w zaroślach. A więc, skoro ta ich droga żelazna ukończona, zobaczymy, jak pójdzie; mnie się wydaje, że do tego potrzeba więcej koni, aniżeli do zwyczajnych wozów.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do baszty; o pięćdziesiąt kroków od niej spotkali pomiędzy zaroślami leśniczego Nickla; ojciec Rock polecił mu, aby uwiadomił córkę o powrocie jego w zwałiska.

Stanąwszy na wierzchołku góry, ojciec Daniel odechnął pełną pierś. Tu przynajmniej niewiele się zmieniło: jeżyny i bluszcze bujniejszymi niż niegdyś sploty obwijały złomy kamienne, ściany zamku powaliły się w części, tworząc większy niż dawniej stos gruzów; dwie tylko baszty pozostały jeszcze, stawiając czoło gromom i wichrom zimowym.

— Chwała Bogu! — zawołał stary kowal — tu przecież możemy odetchnąć!

I pierś jego rozszerzyła się dziwnie. Spojrzał w gó-

rę okiem błyszczącym od radości. W tej chwili dwa wspaniałe krogulce z rozwiniętymi skrzydłami wznosiły się nad basztą.

— Patrzcie, chłopcy, — rzekł kowal, wskazując ku nim — gnieźdzą się, jak dawniej, w szóstej strzelnicy, po prawej ręce wieżyczki. I one, jak ja, posiwiwały!...

Brnąc przez zarośla, przystąpili do baszty, panującej ponad wsią. Ochryply głos powitał ich z daleka.

— A witajcież z drogi, Danielu, witajcie!

I w sklepionym otworze wąskiego okna, o jakie dwadzieścia stóp nad ziemią, ukazała się Fuldrada, małeńka, sucha, pomarszczona, w czapeczce włosianej w kształcie koszyczka, spuszczonej na tył głowy. Od lat pięciu nie zmieniła się ani na jotę. Jedna koza, z jasnym złotawym okiem, długą brodą i głową bez rogów, wspięła się przednimi nogami na framugę okna i przyglądała się pilnie; druga wyciągnęła z poza niej szyję włochatą i beczała drżącym głosem, jakby chciała przemówić.

Daniel Rock wznosił rękę do góry, obaj synowie odkryli głowy z poszanowaniem: Fuldrada odwróciła się od okna i poczęła schodzić krętymi schodkami na dół.

Stała właśnie na najniższym szczeblu, kiedy ojciec Daniel wszedł do baszty. Popatrzyli na siebie w milczeniu. Fuldrada stała oparta o balustradę kamienną, stary kowal stał we drzwiach, nieruchomy jak posąg. Oboje zdawali się jakby uniesieni zachwytem. Stary Rock przerwał pierwsze milczenie.

— A więc — rzekł poważnym głosem — Bóg raz

jeszcze złączył nas na ziemi, Fuldrado... Jakżem szczęśliwy, że cię oglądam w dobrym zdrowiu.

— Tak, Danielu, czas idzie... W jesieni liść oblatuje, ptactwo odlatuje i powraca znowu, a ja zawsze tu sama, zapomniana, z moimi kozami. Och! trudno dziś, trudno o przyjaciół! To też, gdy ich widzę, serca mi jakoś przyrasta... Witajcież mi, witajcież!

— Nie starzejesz się wcale, Fuldrado — powtórzył Daniel. — Taką jesteś, jaką cię poznałem.

— Prawda, jam taka, jak owe zwałiska, co nie starzeją, bo im trudno bardziej postarzyć! Ale wy, przyjaciele moi, znużeni jesteście drogą... chodźcież tu odpocząć, oto wszystko, czem was stara Fuldrada uczyć może w tych ciężkich czasach próby.

To rzekłszy, ukazała ręką na wielki ogień, buchający w pośrodku baszty i ogarniający złotym płomieniem wielką pieczeń sarnią, zatkniętą na różnie drewnianym.

— Przyniósł mi to — dodała — Zelig z Hirschlandu. Pocziwy to chłopak! Zostawił mi także flaszczykę kirszu, skorom mu powiedziała, że ojciec Daniel powraca dziś z synami.

— Wiedziałaś więc, Fuldrado, że jesteśmy wolni? — spytał zdziwiony Daniel.

Stara wzięła go za rękę, poprowadziła do strzelnicy otwartej nad przepaścią.

— Patrz, patrz tam — rzekła cicho — cała wieś czeka na ciebie, czeka z urąganiem na twój powrót: chce szyderczym śmiechem rzucić w oczy tobie i twoim synom. Czy widzisz tam, przed domem mera, pana Zacharyasza w białej chustce na szyi? Czy wi-

dzisz przed oberżą „pod Łabędziem“ starego Żyda Elia-sza? Czy widzisz te tłumy na ulicy? Pragną was upo-korzyć, ale długo czekać im na to! Wiedziałam ja do-brze, iż tu przyjdiesz naprzód do zwalisk.

Ojciec Daniel, schylony ponad strzelnicą, widział o dwa tysiące stóp poniżej to wszystko, co mu uka-zywała stara. Zęby zgrzytały mu od gniewu.

— Dobrze — zawołał, powstając. — Zbliżcie się, chłopcy, patrzcie, jakie dla nas przyście.

Spojrżeli obaj w otwór — lica im pobladły ze zgrozy.

— Dziękujcie Bogu — zawołała stara — że nie jesteście z ich plemienia, bo wielką macie spełnić je-szcze powinność! Nie wszystko dokonane!... Smok prze-wrócił niemaló ziemi, ale nie przebył jeszcze góry... Bądź-cie gotowi, godzina już bije.

— Wiem, Fuldrado — rzekł kowal — pomówimy o tem. Siadajcież, chłopcy, posilcie się pieczeni! Zdziwią się tem, zaprawdę... Ja ci to mówię, ja, Daniel Rock!... Chcą nas widzieć!... Otóż zobaczą nas niedługo.

I usiadł w progu baszty. Krystyan zdjął pieczeń z różną, podał ją ojcu z chlebem. Daniel pokrajał mięso na sztuki, i wszyscy posilali się. Flaszka krą-żyła z rąk do rąk, a stara, siedząc naprzeciw nich na pieńku, poglądała z uśmiechem.

Była już blisko siódma wieczór. Mrok pomału zapadał, wielki ogień buchał w górę i czerwonym pło-mieniem rozjaśniał wyraziste rysy obecnych.

Stara wydoiła kożę w szkopek drewniany, posiliła się mlekiem.

— Jeżeliście znużeni — rzekła — spoczniście so-

bie w tamtej baszcie: Usłalam wam łożę z suchych liści i trawy. Powietrze parne, spoczynek nie zawadzi po-tak dalekiej drodze.

— Dziękuję ci, Fuldrado, nie czuję się znużony. Pomówmy jeszcze chwilę, dopóki Teresa nie nadejdzie z Ludwikiem. Dałem im znać, żeśmy tu przybyli; musimy urządzić tu kuźnię.

— Tak, słusznie — odrzekła stara. — Będziecie kuć. Trudna czeka was praca, lecz Bóg umocni wa-sze siły!...

Gdy Fuldrada domawiała tych słów, lekki szmer dał się słyszeć w zaroślach. Daniel dotąd spokojny, zdrzał.

— To ona — wyrzekł cichym głosem. — Tak, to mo-ja Teresa.

Nastąpiło milczenie. Ogień z trzaskiem wybuchnął w górę i oświecił oblicze Daniela. Widać było wte-dy, jak mocno stary kochał córkę swoją. Zatrzymał oddech w piersi, pot kroplami wystąpił mu na czoło; bystre oko wlepił w drzwi baszty. Nagle powstał, wy-ciągnął obie ręce.

— Tereso! — zawołał silnym głosem.

Postąpił zaledwie parę kroków i powtórzył głębo-ko wzruszony.

— To ty... dziecię moje!

I pocałunki ich dały się słyszeć złączone z cichem łkaniem.

Kacper i Krystyan nie mogli postąpić kroku; mil-cząc, ścisnęli się za ręce, a lzy popłynęły po ich ko-ścistej twarzy.

W chwilę potem ujrzano w cieniu podnoszące się w górę obie ręce starca; trzymał w nich małe dziecię.

— Jakże tobie na imię? — spytał. — Nie widziałem cię nigdy, a jednak kocham cię, jak własną krew moją. Jakże tobie na imię?

— Daniel — szepnęła Teresa drżącym głosem.

— A więc, Danielu! — zawołał stary kowal — uściśnijmy się obaj. Ty spełnisz może to, czego ja dokonać nie mogłem: wydrzesz naszą dziedzinę z rąk rabusiów... ty zetrzesz ich w proch... wszystkich... Ha! dzielne plemię jeszcze nie zaginęło!

Tak mówił starzec z wyrazem niewymownego zapalu.

Wtem nadbiegł Ludwik ze starym młynarzem, Teresa bowiem wyprzedziła ich o kilka kroków.

— Benedumie, Ludwiku! i wy tu także!... Tereso, weź malca, niechaj ich uściskam... Krystyanie, Kacprze, chodźcież co żywo. Dzięki Bogu, jesteśmy razem wszyscy.

I ściskali się serdecznie, jedni ze łzami, drudzy ze śmiechem, według usposobienia.

— Ileż ty tam wycierpiałeś, biedny stary! — zawołał Benedum.

— Ba!... rzecz skończona, nie myślmy już o tem. Pradziadowie nasi, kiedy szli na krucyatę, więcej zapewne przecierpieli. Nie mamy na karku niewiernych, to główna rzecz, o resztę nie stoję... Siadajcież, moi drodzy.

Fuldrada przez ten czas doila kozy swoje, jakby nic nowego nie obilo się o jej oczy ani uszy. Ojciec Rock przypomniał sobie o niej. Porwał na ręce dziecko.

— Patrz, Fuldrado — zawołał — co myślisz o tym chłopcu?

— Myślę, że podobny do ciebie, Danielu: ma twój dziób i twoje szpony. Zaprawdę, piękne orle.

— Przyjdzie czas i na niego — rzekł Daniel — że rozwinie skrzydła do lotu.

Starzec oddał dziecę Teresie i zasiadł przy ognisku obok drugich, znacznie uspokojony.

— No, rad jestem, że was widzę — rzekł — ale przystąpmy do rzeczy. Trzeba ci wiedzieć, mój Benedumie, że zostajemy tu, w tych gruzach.

— Jakto, więc nie powrócisz do wsi?

— Ani myślę! nie chcę widzieć na oczy tych rabusiów, co mnie obdarli ze wszystkiego... Gdybym przypadkiem spotkał którego z nich, w chwili złego humoru gotówbym go poszarpać na kęsy.

— Nie myślisz pewnie o tem. W twoim wieku?

— Wiek nie uczynił mnie jeszcze niedołęgą, mój kochany, przeciwnie, im bardziej się starzeję, tem mocniej nienawiść zakorzenia się w mem sercu. Nie chcę uchodzić za lepszego, niż jestem. W tej chwili oto, gdym patrzył przez ten otwór, na widok Zacharyasza Pipera, przechadzającego się przed domem, uczułem, jak gniew przeniknął mnie do szpiku kości... Ot, niechże-bym go tylko złapał.

— Ale zastanów się... w tych zwaliskach zimą...

— O zimie pomyślimy potem, tymczasem jutro naładuj na twoje osły kowadło, miech, młoty, kleszcze i przyprowadź mi tu to wszystko.

Benedum, Ludwik i Teresa poglądali na siebie osłupieni.

— A cóż u licha będziesz tu kuł? — zawołał młynarz. — Nie wiem, czy na sto lat jeden koń lub wóz przechodzi przez te góry.

— Ukujemy nasze arcydzieło — odpowiedział stary Rock, uśmiechając się w szczególny sposób. — Niegdyś, aby zostać kowalem, trzeba było ukuć coś znakomitego: helm, tarczę, albo nawet całkowitą zbroję... Dziś, dość jest napisać nade drzwiami: Krzysztof albo Mikołaj, kowal. To wygodniej, niema co mówić. Co do mnie, jednak wolę ja dawne czasy i dawne obyczaje! Ukujemy też arcydzieło. A co, nieprawda, chłopcy?

Krystyan i Kacper skinęli głową.

— Istne cacka... zobaczycie sami... — dodał kowal.

— I cóż to takiego?

— Nie mogę jeszcze powiedzieć. Gotuję wszystkim prawdziwą niespodziankę.

Benedum znalazł niezłomny charakter towarzysza: od pamiętnej przygody na radzie municypalnej postanowił unikać z nim wszelkiego sporu. Jakkolwiek pomysł Daniela śmiesznym a nawet dziwacznym był w jego oczach, nie chcąc mącić ogólnej harmonii, pochylił głowę i przyrzekł zadosyć uczynić woli starca.

Rozmawiano o wielu innych rzeczach: o trudnościach napotykanym przy budowie drogi żelaznej, o spanoszeniu się Eliasza Bluma, słowem o tem wszystkim, co od pięciu lat zaszło w Felzenburgu. Niebardzo to jednak zajmowało starego Daniela, który kiedy niekiedy szeroko otwierał gębę i poziewał: jedyną czuł pociechę, oglądając na dzieci. Około dziesiątej powstał z miejsca.

— Trzeba ci wiedzieć, — rzekł do młynarza — że od onegdaj nie zmrużyłem powiek. Chłopcóm też moim oczy kleją się do snu... Czuję się znużony. Innego dnia odwiedź nas znowu. No, Tereso, uściskaj

mnie. Ludwiku, zapal latarkę i ruszajcie do domu. Ostrożnie tylko, żeby kto nie stoczył się na dół przy wyjściu z baszty... Jest tam jedno miejsce niebezpieczne...

Wszyscy powstali, a starzec długo stał u drzwi baszty i wiódł oczyma za latarką, polyskującą w ciemnych zaroślach. Powrócił nakoniec i zawołał na synów:

— No, chłopcy! idźcie spać, widzę, żeście strudzeni. Ja pomówię jeszcze chwilę z Fuldradą... Za godzinę lub dwie przyjdę do was.

Młodzi wyszli. Fuldrada przyrzuciła suchych gałęzi do ognia; Daniel zasiadł naprzeciw niej na szerokiej płycie kamiennej.

XIX.

Tegoż dnia, cała wieś oczekiwała powrotu Daniela Rocka z synami, aby nakarmić oczy ich upokorzeniem.

— Jakież też nastroją miny? — mówili jedni do drugich — szczególnie stary, taki zawsze dumny i przewodzący, on, co przed nikim nie ustąpił nigdy kroku, co z góry na każdego poglądał, przekonany, że on tylko ma rozum. Nauczono go tam pewnie, że gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleźć.

Te słowa krążyły z ust do ust; wszyscy we wsi stali w oknach, lub przed progami chat swoich, oczekując przybycia starego kowala.

Mer, Zacharyasz Piper, więcej od drugich cieszył

się nadzieją tego widoku; postanowił nawet skinać głową i zapytać Daniela o zdrowie.

Co zaś do Żyda Eliasza, ten, mimo obojętności dla rodzaju ludzkiego, szanował zawsze ojca Rocka; widział on w tym człowieku żywe uosobienie idei przeciwnych swoim — czekał też niecierpliwie na jego powrót, rad widzieć, jakim się Daniel pokaże w poniżeniu.

— Będzie-ż on zawsze takim, jak dawniej? Czyż nie spuści nosa na kwintę? Czyż stanie się, jak inni, po zwycięstwie: złamany, trwożliwy, niespokojny?

Wszystko to podniecało wielką ciekawość w Eliaszu.

Dzień przeszedł, a Daniel nie pojawił się we wsi. Osiódmego wieczorem Benedum, Ludwik i Teresa udali się na górę zamkową; zrozumiano stąd, że stary kowal nie rad był wystawiać się na urąganie całego Felzenburga, że stary jastrząb wolął raczej obrać sobie gniazdo wpośród zwałisk.

Wieś doznała przykrego zawodu.

— Nie śmiał spojrzeć nam w oczy — drapieżnik! — wołano na wszystkie strony. — Jak ptak nocny, wolął ukryć się w pustkach.

Mer Zacharyasz boleśniej od drugich uczuł zawód. Włożył przecież z umysłu czarny frak i białą chustkę, aby, jak mówił, uczcić tryumfalny powrót bohatera.

Wszyscy w złym humorze rozeszli się do domów.

— Ci ludzie muszą przecież zstąpić na doliny — mówił nauczyciel Eberhard. — Bądź co bądź zobaczymy ich jutro lub pojutrze, bo tam wyżyć im niepodobna.

Felzenburg przybrał już wtedy postać i obyczaje miasteczka: zabawiał się plotkami. Miejscem zebrania był szynk starego Kalba, lub też kawiarnia Schwar-

tza, oberża bowiem „pod Łabędziem“ zamieniła się w kawiarnię: cały dół przebudowany stanowił jedną wielką salę, z bilardem w pośrodku, przybrany w kinkiety. Wokoło, na ścianach, pomalowanych grynszpanem, jeziora, pomalowane niebieskim indygo, miały przedstawiać krajobrazy Szwajcaryi.

Tam, przy małych stolikach grywano w ekarte. Zamiast trójgraniastych kapeluszy, noszono czarne rury; zamiast białego wina alzackiego, wszyscy pili absynt albo biszof; kumoszki wieczorem, zamiast przychodzić po mężów z miotłą w rękę, siadały spokojnie obok nich i piły czekoladę lub wodę z cukrem. Nowe obyczaje utrzymywały zgodę w stadłach: cywilizacya postąpiła krok naprzód.

Wszyscy też spodziewali się lada dzień zabawić kosztem Rocków.

— Im dłużej będą się ociagać — mówił Schwartz — tem lepiej z nich szydzić będziemy. Ale czas wszystko zatrze!

Niech-no tylko stary przychodzi do kawiarni na absynt, nie wspomnę mu nigdy o przygodzie, bo jakby wpadł w gniew, gotówby mi porozbijać zwierciadła, kinkiety i szklanki... a ja nie żaden zawadyaka, przede wszystkim lubię handel i pokój.

Gdy widziano nazajutrz z rana, jak Frantz Benedum z Ludwikiem otwierają drzwi kuźni, jak ładują na osły węgiel, młoty, obcegi i kowadła, jak z tem wszystkim zwracają się pod górę, cała wieś nie mogła wyjść z podziwienia.

— Poszaleli chyba — powtarzano dokola — kto słyszał zakładać kuźnię na skale? Więzienie przewró-

cilo im w głowie. Stary Rock zawsze robił wszystko na opak, a teraz zwaryował do reszty.

Przez trzy dni mówiono tylko o dziwnym postanowieniu Daniela. Jedni śmieli się, drudzy ruszali ramionami. Eliasz milczał, jakby przeczuwając coś złego; Zacharyasz Piper nie dowierzał także tym ludziom. Uważano, że mer, wychodząc z domu, wychylał zawsze wprzód głowę przez okno i poglądał na wszystkie strony, snadź w obawie nie milego spotkania.

Ale nie na tem koniec: lud Felzenburski dziwił się coraz bardziej, i słuszne miał do tego powody.

Co wieczór bowiem jasny płomień dobywał się przez drzwi i okna starej baszty, a huk młotów rozlegał się po skałach. Zdumienie powszechne doszło do najwyższego stopnia.

O godzinie dziesiątej, kiedy gaszono ogień w chatach, kiedy cisza nocna zalegała wieś całą, straszny łomot powstawał wpośród zwałisk. Olbrzymie młoty z całą siłą uderzały w kowadło.

Na ten huk zbudzone psy we wsi czekały i wylały żałośnie. Trwało to zazwyczaj do rana.

Nikt nie był w stanie zmrużyć oczu, a choć nawet zasnął na chwilę, budził się przerażony.

— Krystyno! — wołał Kalb na żonę.

— Cóż takiego?

— Czy słyszysz, co u licha robią na górze?

— Alboż ja wiem.

— Słyszysz, jak wyje nasz kruk?

— Słyszę.

I wszystkie psy we wsi łączyły się w jeden chór, skowycząc i skomlać przeraźliwie. Koguty piałły na

całe gardło, młoty waliły do taktu tej piekielnej muzyce. Nikt nie spał, rozpacz ogarniała wieś całą.

— Stary chce nas wszystkich zameczyć, zganiając nam sen z powiek. Ha! niegodziwy łotr! — mówili jedni do drugich.

Niektórzy poszli do pana Zacharyasza, domagając się, żeby zabronił Rockom kuć żelazo po nocach. Pan Zacharyasz, niespokojny, udał się po radę do podprefekta. Odpowiedziano mu, że zwałiska zamku leżą daleko od wsi, trudno więc zaradzić temu. Zresztą żadne prawo nie broni kowalom kuć w nocy, potrzeba zostawić im wszelką wolność.

Wieś całą zachodziła w głowę. Co wieczór tłum ludu wybiegał z domów i poglądał na płomień, buchający przez okna i strzelnice sześciopiętrowej baszty. Czerwona luna ogarniała skały i zwałiska.

Ci, którzy zamysłali sztydzić ze starego Rocka, zaprzestali już żartów.

— Dobrzeby było — mówili między sobą — żeby pan mer wysłał do tych ludzi deputację od rady municypalnej z prośbą, aby wrócili do wsi, i z zapewnieniem, że, ktokolwiek śmiałyby z nich sztydzić, lub patrzeć na nich krzywem okiem, zostanie surowo ukarany. Taby ich uspokoiło, i moglibyśmy spać, jak dawniej. Oj, dobrze-ż to było we wsi przed powrotem tych opętańców!

Tak utyskiwali mieszkańcy Felzenburga. Pan Zacharyasz ze swej strony nie zasypiał gruszek w popiele.

Woźny Hans, widząc go razu jednego dziwnie za-

frasowanym, i zgadując, że przemysła o Rockach, zbliżył się do niego nieśmiało.

— Panie merze — zagadnął — wiadomo panu, że od sześciu lat rada municypalna przyrzeka mi powiększyć płacę, tymczasem rzecz idzie w odwłokę z roku na rok: nikt przecież tak, jak ja, nie bije w bęben i nie krzyczy tak głośno; jeden tylko woźny z Falzburga mógł iść ze mną w parze, nim przekrzytał gardło nieborak...

— Zapewne — rzekł mer — ale...

— Posłuchaj mnie pan do końca, mam panu coś powiedzieć. Cała wieś strapiona z przyczyny tych niegodziwych Rocków. Otóż, gdyby mi pan wyjednał sto franków nad to, co teraz biore, gotówbym poświęcić się dla dobra gminy. Zajrzałbym do środka baszty i powiedziałbym panu, co się tam dzieje.

— Tybys to zrobił? — zawołał Zacharyasz. — To szlachetne z twej strony, mój Hansie.

— Tak, to szlachetnie, panie merze, bo narażam się na śmierć. Rockowie gotowi mnie zabić, jak dostrzegą, że ich wypatruję. Zrobię to jednak, jeśli mi gmina postąpi sto franków.

— Będiesz je miał, Hansie — odrzekł Zacharyasz — Przyrzekam ci w imieniu gminy.

— A więc w Imię Boże, poświęcam się dla żony i dzieci. Prędzej, czy później, raz trzeba umierać... czy od młota, czy od dychawicy, jak woźny z Felzburga, na jedno to wyjdzie podobno.

Tak mówił nieustraszony Hans, i tegoż wieczora, między dziesiątą a jedenastą, odebrawszy zlecenia od mera, który czekał go w kancelaryi, aby spi-

sać protokół, wyruszył pod górę ku zwałiskom. Serce biło mu gwałtownie, i przykre myśli niepokoiły go w ciągu drogi, ale czegoż człowiek nie robi dla miłego grosza, zwłaszcza, jeżeli lubi piolunówkę? A Hans lubił piolunówkę: był to w jego oczach najpiękniejszy wyrób cywilizacji.

Szedł zatem pomału pod górę. Noc była czarna, tylko wpośród grubej ciemności polyskiwał jaskrawo płomień przez okna i strzelnice starej baszty; huk młotów rozlegał się po skałach; w dolinie psy wylały żałośnie w miarę, jak Hans wdzierał się na górę, młoty uderzały coraz głośniej, chłód coraz bardziej przenikał go do kości, stąd też coraz większa ogarniała go trwoga. Przyszło mu do głowy usiąść na pół drogi w zaroślach, wymyślić jaką niestworzoną historię o kuźni i opowiedzieć ją merowi za powrotem. Ale napróżno smażył sobie mózg, nic mu się jakoś nie kleiło; nie mógł sobie wyobrazić w żaden sposób, co kuje na górze stary Daniel z synami. Zresztą obawiał się nie bez powodu, że gdyby kiedyś miało się wydać kłamstwo, gmina wypędziłaby go niewątpliwie pomimo donośnego głosu.

Żałował też serdecznie, iż się tak daleko zapędził; nie było jednak rady, wypadało raczej stawić wszystko na kartę, niż przyznać się do strachu panu Zacharyaszowi. W takim usposobieniu umysłu Hans przybył do podnóża skały.

Huk młotów rozlegał się bezustannie... Nadstawił ucha, westchnął i oplakiwał gorzko zuchwały pomysł.

— Kto widział takiego głupca, jak ja? — mówił sam do siebie. — Gdyby nie te cztery kieliszki piolu-

nówki, którem dziś rano wypił, czyżbym obiecywał merowi, że się tu wdrapię za sto franków? Trzeba było żądać z jakie pięćset, albo nawet i z tysiąc — nie byłby mi ich dał... a ja leżałbym spokojnie w łóżku o tej porze. Ci Rockowie zbili na kwaśne jabłko tyłu inżynierów i robotników... Teraz powrócili oto z więzienia — bardziej jeszcze rozszreńczeni, niż przedtem. Niech mnie który zobaczy, przepadłem z kretelem, jak mi Bóg miły.

I stanęła mu w myśli straszna postać Daniela i nogi jakby mu wrosły w ziemię.

Oprócz tego przypomniał sobie starą Fuldradę. Nie wątpił, że stara czarownica stoi na straży.

Wszystko w oczach jego przedstawiało się w tak okropnych barwach, że po raz drugi zamierzał wymyślić jakąś bajkę i co żywo powrócić do wsi.

— Wdarłem się po same góry — mówił do siebie. — Któżby to drugi zrobił? Radbym widzieć tu pana mera; pewien jestem, żeby pierwszy powiedział: „idźmy stąd precz!“ o! drapałby, jak oparzony... Jakież tu straszny loskot!

W kwadrans jednak oswoił się trochę z jednostajnymi uderzeniami młotów.

— Ponieważ kuja tak zawzięcie — pomyślał — muszą mieć plecy odwrócone... i nic poza sobą nie zobaczą... i nic też nie posłyszają przy tym piekielnym huku. W razie nawet, gdyby mnie spostrzegli, dalej-że nogi za pas, i nie oprę się aż w wiosce.

Tak rzeczy obmyśliwszy, wdarł się steczka, wiodącą na wierzchołek skały. Nagle młoty przestały bić w kowadło.

— Odkryli mnie — pomyślał, drżąc jak liść.

Wtem księżyc wybiegł z poza chmury i oświecił puste zarośla. Cisza panowała głęboka, listek nawet nie ruszył się na drzewie.

Hans czuł, jakby mu kamień spadł z piersi. Zachwycił powietrza, cicho przypełzał pod basztę. Odważył się nawet wejść na stos powalonych kamieni i spojrzeć przez strzelnicę.

Gęste krzaki pokrywały ten otwór. Niepodobna było dostrzedz Hansa, on tymczasem widział wszystko, jak w studni; baszta bowiem, zawałona wkoło gruzami, sięgała na piętnaście stóp głębiej.

A oto co widział Hans w starej baszcie.

W samym środku stało kowadło, oparte na wielkim pniu dębowym; po lewej ręce ulepiono piec z gliny, nad nim zawieszony był miech na dwóch sztabach żelaznych, osadzonych w murze. Czerwony płomień, buchający z ogniska, oświecał starą, która siedziała na pieńku między dwoma kozami. Ojciec Rock i dwaj jego synowie, z odświętymi rękawami od koszuli, boso, oblani potem, stali przy kowadle, trzymając w ręku wielkie młoty.

Na kamiennej podłodze leżały dwa ogromne oszczepy żelazne, długie na dwadzieścia stóp, grube, mocne, hartowne, oszczepy, jakich używali olbrzymi średnich wieków.

Wspaniały to był widok.

W chwili, gdy Hans patrzył przez okna, stary kowal uśmiechał się zadowolony.

— No i cóż, Fuldrado — zawołał — widzisz, że robota idzie.

— Tak, idzie — odrzekła stara, podnosząc się po mału.

I przystąpiła do oszczepu, chciała go unieść z ziemi; przyłożyła do niego z siłą drobne ręce, aż żyły wystąpiły jej na czole i na szyi, lecz oszczep nie poruszył się z miejsca... Kowale spoglądali z uśmiechem.

— I cóż myślisz o nich, Fuldrado?

— Ciężkie, bardzo ciężkie. Danielu, kto zdola je udźwignąć?

Wtedy starzec, nie rzekłszy słowa, postąpił parę kroków, podjął z ziemi oszczep jedną ręką, podniósł go w górę, jak piórko, i dumnie wywijał nim nad głową.

Pyszenie wyglądał starzec w tej postawie. Krystyan, Kacper poglądali na ojca, zdumieni jego siłą.

— Danielu, — zawołała Fuldrada — piękny jesteś, jak Hugon Jednooki.

Starzec, z okiem rozpromienionem, rzucił oszczep na podłogę kamienną. Brzęk głośny rozległ się po zwaliskach.

Hans zadrżał od stóp do głowy.

— No! a teraz — rzekł Daniel — weźmy się co tchu do trzeciego. Mamy już dwa wyborne, nie zegną się, jak Bóg Bogiem.

— Tak, nie zegną się — powtórzyła stara.

Hans tymczasem, zobaczywszy, co chciał widzieć, szedł ostrożnie ze stosu powalonych złomów i pomknął, jak zając, przez zarośla, spoglądając niekiedy poza siebie.

Huk młotów rozpoczął się na nowo.

Około drugiej zrana woźny Hans wszedł do pokoju mera i opowiedział mu to, co widział.

Pan Zacharyasz słuchał go zdumiony.

— Cóż oni myślą robić z tymi oszczepami? — zapytał.

— Albo ja wiem, panie merze? Aż strach przejmuję, gdy człek pomyśli o nich.

— Trzeba rzecz dobrze rozważyć, mój Hansie. Te lotry gotowi obmyślić nową zbrodnię. Oszczepy długie na dwadzieścia stóp! to chyba do wysadzania drzwi poczciwym ludziom, kiedy śpią... Ha! kto wie, może chcą się obwarować w starym zamku... rzecz zabroniona prawem... Rozpoznamy tę sprawę. Niebezpieczeństwo, na jakie się narażałeś, podniosło cię w mojem przekonaniu... Drzę o ciebie! Jutro zwołam radę, naradzimy się razem.

— Dobrze, panie merze, a nie zapomnij pan o moich stu frankach.

— Bądź spokojny, Hansie, masz prawo do wdzięczności publicznej... Otrzymasz nagrodę, już ja w tem.

Tak odkryta została praca Rocków w ich ukryciu, praca tajemnicza, która usprawiedliwiała obawy pana Zacharyasza i słusznemi czyniła skargi gminy.

Trzeba przyznać, że przypuszczenia mera nie były bezzasadne, mogły więc spowodować urzędowe śledztwo. Te oszczepy, długie na dwadzieścia stóp, mogły być zaczepnym orężem.

XX.

Nazajutrz, o dziewiątej rano, mer Zacharyasz, zabierał się do zwołania rady municypalnej, kiedy odebrał od pana podprefekta z Falzburga zawiadomienie

o blizkiem otwarciu drogi żelaznej, z poleceniem, żeby wezwał ludność okoliczną na ową uroczystość, świadczącą o tryumfie cywilizacyi.

W post-scriptum pan podprefekt dodał mimochodem, iż gorliwi urzędnicy mogą liczyć na zasłużone względy.

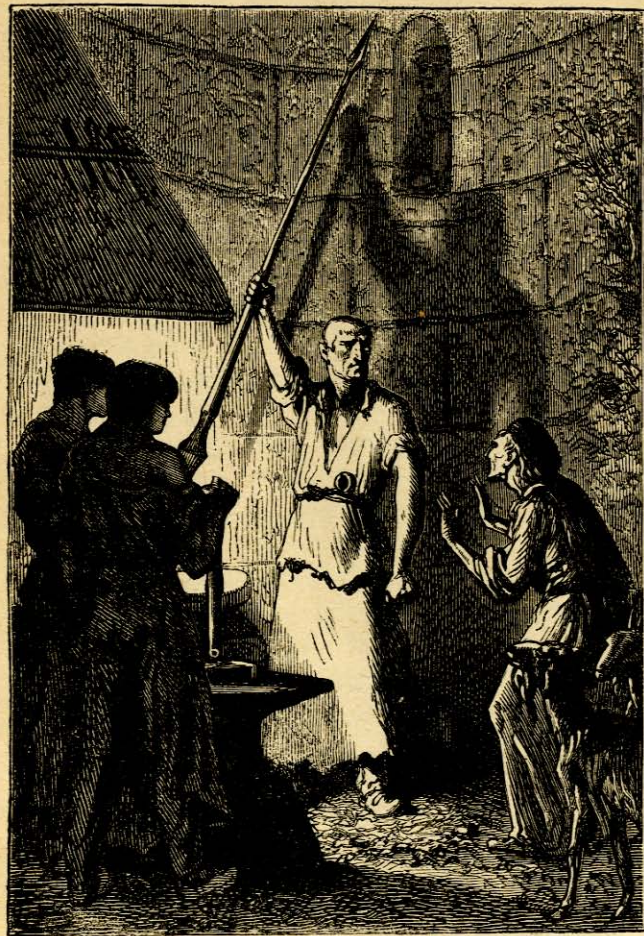
Zapał niewymowny ogarnął pana Zacharyasza, lica jego zarumieniły się od radości. Przypomniawszy sobie miejsce sędziego pokoju i zrozumiał, że nadeszła chwila, która urzeczywistni najmiłsze jego nadzieje.

Zapomniawszy zatem o Rocku, Hansie, słowem o wszystkim, co budziło słusznie jego obawę w przedmiocie starej baszty, pożyczył parę koni od Schwartza i objeżdżał osady góralskie, odwiedzając po kolei merów, adjunktów, radców municypalnych, proboszczów, wreszcie całą starszysznę wiejską, zapowiadając im nową erę dla handlu i przemysłu i wzywając wszystkich do Felzenburga na tryumfalny obchód nowych idei.

Do miejsc ustronnych, jak: Hirschland, Tomfessel, Schnekenpesch, gdzie czas nie pozwolił mu udać się osobiście, porozsyłał umyślnych gońców. Słowem, nie przepomniawszy o niczem, i podczas tego objazdu obmyślił mowę, z którą miał wystąpić, jako pierwszy urzędnik miejscowy.

To arcydzieło sztuki krasomówczej zaczynało się od tych słów:

„Kiedy Noe odebrał od Przedwiecznego rozkaz zbudowania arki, szerokej na stóp trzysta, i umieszczenia w niej po parze zwierząt wszelkiego rodzaju, mieszkańcy kraju wielce się zdumieli. Trudno było wyobrazić sobie, jakim sposobem taki wiel-



Pysnie wyglądał starzec w tej postawie.

ki korab żeglować będzie po piaskach i skałach, choćby nawet przy najpomyślniejszym wietrze. Ludzie, najwyższą nawet obdarzeni inteligencją, nie mogli zrozumieć tak zuchwałego przedsięwzięcia, gdy szczęściem dla olbrzymiej nawy, rozpoczęły się ulewne deszcze, i morze wyległo z brzegów swoich aż pod wierzchołek Araratu“.

Po ośmiodniowej przejażdżce pan mer powrócił do wsi. W następną niedzielę miało nastąpić otwarcie kolei żelaznej.

Trzeba wiedzieć, że w tym dniu wszystkie władze rządowe z gór i doliny zebrały się w Felzenburgu; wśród tylu gwiazd wyższego rzędu zgasł zupełnie pan Zacharyasz Piper.

Budowniczy Lang z cieślą Ulrykiem i kilku innymi artystami zbudowali z drzewa i liści luk tryumfalny, wysoki na pięćdziesiąt stóp, pod którym miał przejść pierwszy pociąg.

Wyobraźmy sobie wspaniały obraz, oświetlony najpiękniejszym promieniem słońca, wyobraźmy sobie merów i radców municypalnych w czerwonych kamizelach, tak licznych, jak gwiazdy na widnokregu... Wyobraźmy sobie wkoło nich wysoką estradę w kształcie ołtarza, a na niej urzędników cywilnych i wojskowe władze z Falzburga; poniżej zaś estrady żony tych panów w kapeluszach, sukniach jedwabnych, dalej zaś tłum wieśniaków, niewiast i dzieci, zalegający jak fala całą dolinę i okoliczne wzgórza; a nad tem wszystkim wspaniały łańcuch Wogezów, pokrytych jodłami, panujący nad całą okolicą.

Wszyscy obecni, przybrani różnobarwnie, uroczą się mieli postać.

Skwar był w tym dniu okropny, pot kroplami spadał każdemu z czoła. Ludzie dusili się, jak ryby, wyrzucone z wody na piasek.

Oprócz pań, którym podawano chłodzące napoje, wobec tłumów, umierających z pragnienia, oprócz pań, wszyscy woleliby raczej ulewny deszcz nad tę uciążliwą pogodę.

Nakoniec, po sześciogodzinnem oczekiwaniu, pierwszy pociąg ukazał się z daleka. Ci, którzy stali na pochyłości góry, sami jedni zdołali go dopatrzeć.

— Idzie już... idzie! — zabrzmiały tysiące głosów z góry.

— Idzie, idzie! — powtórzyły tysiące głosów na dolinie. Okrzyk przebiegał z ust do ust, rozlegając się po skałach.

Potem wszystko umilkło. Grobowa cisza nastąpiła po wrzawie.

Wtem posłyszano świst, przeraźliwy świst, jakiego nigdy nie słyszało ucho zebranych. Było to daleko, daleko, każdy jednak słuchał ze drżeniem.

Nagle turkot głuchy, straszny, zatętniał pod ziemią... Lokomotywa wpadła w wielki tunel Erschwiller... toczyła się, toczyła długo, jak w piekielnej otchłani, ziemia drżała. Wszyscy czekali w trwodze.

Wybiegła nakoniec, wyrzucając pod obłoki kłęby białego dymu, mknąc lotem błyskawicy.

Nigdy... nigdy podobny obraz nie pojawił się oczom widzów, każdy mógł w tej chwili wyrzec z chluba:

„Jam człowiek... podobni mnie to wykonali!”

Na lokomotywie stali inżynierowie drogi żelaznej: pan Horacy, pan Cypryan, Anatol i inni.

Chlubili się z dzieła własnego, i zaprawdę mieli do tego prawo. Patrząc na te doliny, zasłane tysiącami głów zdumionych, jak liśćmi w lesie, kłaniali się obecnym. Z tysiąca piersi wyszedł okrzyk uwielbienia; lecz poświst i turkot pociągu wszystko zgłuszył.

W chwili, gdy lokomotywa, okrążywszy półkole nad doliną, miała wbiedz do drugiego tunelu, który przecinał górę zawałoną gruzami Felzenburskiego zamczyska, pan Horacy zbladł jak trup... włosy dębem stanęły mu na głowie... Wyciągnął obie ręce, jakby wskazywał jakiś przedmiot.

Tłum zadrżał... Oczy wszystkich zwróciły się w danym kierunku.

Z głębi czarnego sklepienia wystąpił na światło stary Daniel z synami. Każdy z nich trzymał w ręku ogromny oszczep.

Lokomotywa pędziła ku nim, jak wicher. Jeszcze pół minuty, a po ich ciałach — miała pomknąć w głąb góry.

Stary kowal stał w pośrodku dwóch synów, z głową podniesioną, z olbrzymim oszczepem w prawicy. Zmarszczył brwi, zacisnął mocno szczękę; wielki nos, zagięty ku ustom, jak dziób orła, groźną nadawał mu postać. Patrzył na lokomotywę wzrokiem wyzywającym. Oczy jego mówiły:

Stój — nie pójdziesz dalej!

Wspaniała była postać starca.

Krystyan i Kacper stali obaj przy ojcu, z szyją

obnażoną, z piersią gołą... nieruchomi, jak posągi wykute z kamienia. Nagle pochyłili się wszyscy trzej, końce oszczepów głęboko zaryli w ziemię.

Tłum zadrżał zdjęty przerażeniem.

Za późno już było, aby wstrzymać maszynę... Dlatego to pan Horacy, w obawie, aby pociąg nie wyskoczył z szyn, z czego okropne wynikłyby następstwa, zawołał grzmiącym głosem:

— Dodać pary!

I w mgnieniu oka lokomotywa pokryła się białym obłokiem i z przeraźliwym świstem zanurzyła się w głębi tunelu. Gdy znikła, oczy wszystkich zwróciły się w miejsce, gdzie przed chwilą stał Daniel Rock z synami. Pusto było w tem miejscu. Koła maszyny starły ciała na miazgę, zdruzgotały olbrzymie oszczepy, i toczyły się pod górę, coraz dalej a dalej.

Oblicza widzów trupią pokryły się bledością. Jedni na drugich spoglądali w milczeniu.

— Tak to myśl zwycięża materję! — powtarzały liczne głosy—nic zaprawdę powstrzymać jej nie zdoła... ni siła, ni bohaterska dzielność! Trzeba iść z nią... lub umrzeć.

Eliasz Blum posłyszał te słowa.

— Tak, panowie, — rzekł — sprawiedliwie mówicie, lepiej być na wozie, niż pod kołami.

XXI.

W tydzień po tym nadzwyczajnym wypadku, pan Horacy i inni inżynierowie wyprawili drogą żelazną swoje sprzęty i narzędzia matematyczne.

Pogrzebano ciała Rocka i synów jego w sklepieniach zamku Felzenburskiego. Taka była wola Teresy.

Te sklepienia, poświęcone niegdyś przez biskupów z Metz i Trewiru, mogły być uważane jako ziemia święta.

Tegoż wieczoru, po smutnym obrzędzie pogrzebowym, Fuldrada opuściła starą basztę. Nikt nie wiedział, co się z nią stało, dopiero w parę dni potem leśniczy Sperwer, wracając ze Schneeberga, opowiadał, iż w niedostępnych zaroślach napotkał starą czarownicę; trzymała pod pachą księgę odwiecznych kronik; szła pomału ku zwałiskom Nidecku, dwie chude kozy postępowały za nią.

Opuszczając Felzenburg, pan Horacy odwiedził wladze miejscowe, między innymi: pana Zacharyasza Pipera i plebana Niklausa.

Pocziwy pleban przechadzał się właśnie po ogódku. Na widok wchodzącego inżyniera, zamknął brewiarz, postąpił naprzód kilka kroków.

— Pan, jak widzę — rzekł — przychodzisz do mnie z pożegnaniem?

— Tak jest, księżę plebanie. Oddalam się już z Felzenburga.

Weszli do altany, obsadzonej bluszczem i kaprifolią, zasiedli na ławeczce i poczęli rozmawiać o wielkich zmianach, jakie, od pięciu lat, zaszły w okolicy.

— Oj, tak — mówił ojciec Niklaus — piękne to rzeczy! te wasze drogi żelazne i maszyny wszelkiego rodzaju; ale gdzież się podziewają dawne obyczaje i poczciwe tradycje dawnych wieków, poszanowanie starości, wiara w wiekiście prawdy świętej religii, pokora serc i prostota wiary? Wszystko zaciera się, wszystko tonie w nicestwie. Dawna gościnność, owa gościnność tradycyjna, tak zgodna z charakterem górali, która stanowiła niegdyś prawdziwy urok naszych lasów, owa nawet gościnność poczyna znikać coraz bardziej... Wszystko dziś oblicza się na pieniądze. Ach! panie naczelniku, wasza cywilizacja ma też odwrotną stronę.

Tak utyskiwał zacny pleban. Pan Horacy słuchał go z uśmiechem, nie przerywając mu, gdyż ojciec lubił prawie jednym tchem jak z ambony.

Umilkł nakoniec pleban, wypowiedziawszy całą myśl swoją.

— Wszystko to, szanowny księże, prawda niezaprzeczona — rzekł inżynier. — Dzisiejsi ludzie nie zachowali wyobrażeń XV-go wieku, ale wszakże i Hugo Kapet nie żył myślą Klodoweusza, a Ludwik święty nie żył myślą Hugona Kapeta. Każdy z tych wielkich mężów przedstawiał ideę wieku swego; gdyby inaczej było, nie byłiby zaprawdę tak wielkimi, i każdy z nich, zamiast służyć ludzkości, byłby się stał jej biczem. Chcieć utrzymać gwałtem wyobrażenia innej epoki, to wielka niedorzeczność: kurczę nie zmieni się już w jaje, lubo z niego wzięto początek. Można żałować starodawnych obyczajów i odwiecznych podań, tak pełnych prawdziwej pezyi... ale, gdyby ci ludzie, którzy niegdyś żyli pod Hugonem Jednookim,

gdyby ci ludzie powstałi dziś z grobu, wspominając plewę, którą mieszali do chleba, przyznałiby sami, że los najnędźniejszego z robotników dzisiejszych godzien zazdrości w porównaniu z ich losem.

Zważcie tylko, ojcze plebanie, że we wszystkich starożytnych modlitwach znajdujemy ten ustęp: „Zachowaj nas, Panie, od głodu!“ Pleż to łez, ile boleści i rozpaczy zawarto w owych kilku słowach. Och! biedni praojcowie nasi! ileż oni wycierpieli pod Luitprandem Bartoldem i tyłu im podobnymi. Dla nas to, ich potomków, Bóg dopiero wysłuchał pokorną ich modlitwę.

Słowa te uderzyły zacnego plebana, tak, że nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć, spojrzął tylko w brewiarz i westchnął głęboko.

— Takie moje zdanie o dawnych obyczajach — dorzucił pan Horacy — a to zdanie na tem właśnie opieram, że nie widzę najmniejszych śladów instytucji z XII-go wieku, któreby zapobiegły nędzy ogólnej.

Co się tyczy pary i dróg żelaznych, i tych wszystkich wynalazków, nad którymi utyskujesz tak, zacny ojcze, stanowią one nieśmiertelną chwałę wieku naszego i przyczynią się do szczęścia naszych dzieci.

Wiele mówią, i słusznie, o męczennikach za naszą świętą wiarę pod Dyoklejanem; ale zastanówcie się dobrze, ojcze plebanie, że i nauka liczy tysiące ofiar swoich... że dziś wydaje jeszcze ludzi, którzy cierpią bez sarkania i umierają szczęśliwi, że spełnili powinność!... Machina parowa liczy kilku takich: Salomona Causa, Papina, Watta, Fultona. Dziś myśli człowieka wyrosły w żelazne ręce, które dniem i no-

ca pracują bez spoczynku, i nogi, które przebiegają dziesięć mil na godzinę. Wynalazca jednak umarł w nędzy. Mógłbym naliczyć wielu podobnych. I ci, jak dawni męczennicy, zachowali całą prostotę wiary wobec prześladowania.

— Kochali chwałę — odrzekł ojciec Niklaus. — Byli męczennikami pychy własnej.

— Przebacz mi, ojczy plebanie, ale Mojżesz, święty Ludwik i Bossuet kochali także chwałę. Podziwiam i wielbię bohaterską odwagę starego Daniela Rocka... Piękny to był charakter... Ludzie głębokiego przekonania tak powinni do walki występować: z głową podniesioną, z oszczepem w rękę, z pierśią otwartą na pociski! Dzielny Rock wojował do ostatka; idea nowoczesna, którą wyzwał w zapasy, przygniotła go swoim brzemieniem: — upadł, lecz wytrwałość, z jaką walczył, zasługuje zaprawdę na szacunek.

Rzekłszy te słowa, powstał inżynier, ksiądz pleban oddał mu pokłon i odprowadził aż do furtki ogródkowej. Rozeszli się obojętnie. Ojciec Naklaus otworzył znowu brewiarz i odmawiał przerwane na chwilę modlitwy.

KONIEC.



59083